

- 63 dni Powstania Warszawskiego
- Reforma — pierwsze doświadczenia

- Kto ma utrzymywać studenta?
- Wiersze poetów białoruskich

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 28 (1281) ROK XXV 15 PAŹDZIERNIKA 1982 ROKU CENA 20 ZŁ

Praca: obowiązek, kara czy zemsta?

PR

P.

„Pasożyt”, „nierób”, „urodzony w niedzielę”, „margines społeczny”, „ci spod budki z piwem” — oto różne określenia zjawiska, które budzi wiele sprzeciwów, emocji, różnego rodzaju refleksji. Nazywamy je umownie: „pasożytnictwo społeczne”. Dyskutujemy o nim już od dawna. Zastanawiamy się, jak je zlikwidować. Co zrobić, aby ludzie zdrowi i sprawni nie uchylali się od pracy?

Redakcja „Odgłosów” zaprosiła do dyskusji ludzi różnych zawodów, prezentujących różne poglądy na temat „pasożytnictwa społecznego” i różne oczekiwania w stosunku do sposobu jego rozwiązania. W dyskusji udział wzięli:

— JAN DOBRZYŃSKI — lakiernik ze „Stomilu”,
— KRYSZYNA GRZELEWSKA — referent w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Przemysłu

Bawełnianego w Łodzi.

— doc. dr hab. CEZARY KOSIKOWSKI — prawnik z Uniwersytetu Łódzkiego,

— doc. dr hab. STEFAN LELENTAL — prawnik z Uniwersytetu Łódzkiego,

— inspektor ZBIGNIEW LEŚNIEWICZ —

przedstawiciel KW MO w Łodzi,

— RYSZARD ŁACHUT — robotnik z ZPB

Im. J. Marchlewskiego,

— ANDRZEJ MACKOWIAK — mistrz z ŁZR „Fonica”,

— prof. dr hab. WACŁAW PIOTROWSKI —

socjolog z Uniwersytetu Łódzkiego.

Redakcję reprezentowali: BOGDA MADEJ i LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

CO TO JEST „PASOŻYTNICTWO SPOŁECZNE”?

„ODGŁOSY”: — Proponujemy naszą dyskusję zacząć od próby odpowiedzi na pytanie: co to jest „pasożytnictwo społeczne”? Różne bowiem pod to pojęcie podkłada się treści.

S. LELENTAL: — Projekt ustawy skierowanej do komisji sejmowej nosi tytuł: „O postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy i nauki”. Jednostki się od osób — mężczyzn i kobiet — w wieku od 18 do 45 lat. Powinniśmy więc raczej unikać pojęcia „pasożytnictwa społecznego”.

C. KOSIKOWSKI: — Dyskusje nad „pasożytnictwem społecznym” nasilają się zawsze w momentach kryzysowych. A zjawisko to występuje cały czas. Więc może rzeczywście warto wyjaśnić, o co chodzi.

Zaizrałem do encyklopedii i leksykonów „Pasożytnictwo społeczne” określa się tam lekko pasożytniczy tryb życia osoby zdolnej do pracy. Ale termin wzięty jest z biologii i oznacza formę współżycia organizmów dwu różnych gatunków, z których jeden — pasożyt — wyciska życie żywiciela. Takie formalne przeniesienie terminu z jednej dziedziny nauki do drugiej często myli. W tym wypadku już tylko choćby dlatego, że chodził przecież o ludzi, a więc przedstawicieli tego samego gatunku.

„ODGŁOSY”: — Analogia powstała samorzutnie, gdyż w odczuciu społecznym wiele osób pasożytuje na pracującej części społeczeństwa. Warto byłoby się może zastanowić, kogo zwykło się zaliczać do tej pasożytniczej grupy?

C. KOSIKOWSKI: — Zastanawiałem się i nad tym. Zalicza się tu osoby, które nie pracują lub się nie uczą, mogą to robić, ale nie chcą. Osoby, które pracują nielegalnie. Takich, którzy pracują legalnie, ale dorywczo. Zalicza się do tej grupy również nalogo-

wych alkoholików, niezależnie od tego, czy pracują czy nie, nie traktując alkoholizmu jako choroby. Dalej — młodzież społecznie nieprzystosowaną, a przecież jest to rodzaj społecznego kalektwa. Zalicza się osoby z zaburzeniami psychicznymi, które wymagają leczenia i specjalnej opieki. Poza tym narkomanów. Ale również prostytutki oraz sprawców różnych przestępstw i wykroczeń. I to nie jest jeszcze cała lista.

„ODGŁOSY”: — A z punktu widzenia prawa, kogo by można było do tej grupy zaliczyć?

C. KOSIKOWSKI: — Nie ma precyzyjnej definicji i nie wiem czy taka jest potrzebna. Projekt dyskutowanej ustawy ma wyrażać nazwę i cel. Trzeba go przede wszystkim szerzej spopularyzować gdyż z jego nieznaności wynika różny nieporozumienia.

R. ŁACHUT: — Widzę dwa różne pojęcia: margines społeczny i pasożytnictwo. Każde społeczeństwo ma swój margines — to znaczy takich ludzi, którzy żyją na jego koszt. A „pasożytnictwo społeczne” to dla mnie zupełnie coś innego, to zjawisko znacznie szersze. Obejmuje ono tych wszystkich ludzi, którzy nie pracują bezpośrednio w produkcji i swoją pracę nie przynoszą społeczeństwu nowych wartości. Podjęliśmy się u nas całą masę przedsięwzięć, które później okazują się społecznie nieuczynne.

„ODGŁOSY”: — Ale są też i ludzie, którzy nie wywiązują się ze swoich obowiązków również w pracy produkcyjnej.

K. GRZELEWSKA: — Spróbuj popatrzeć na to inaczej, może po kobiecemu trochę. Można powiedzieć tak: mamy trzy grupy w społeczeństwie. Pierwsza — to ludzie na rencie czy emeryturze. Druga — to ludzie pracujący czy uczący się. Trzecia — to ludzie zdolni do pracy, którzy nie pracują, ani się nie uczą i o nich chodzi. O nich mówi się że są pasożytami, to nie tylko teraz o tym nie dyskutuje. O tych, co wystawali pod budkami z pi-

wem, o panienkach lekkich obojętnie mówiliśmy dawniej, może mniej, bo i zasięg zjawiska był mniejszy. Teraz gwałtownie rośnie grupa ludzi, którzy nie nie robią, nigdzie nie pracują, a którym świetnie się powodzi. I to nas boli. Sam fakt, a nie to, jak się go nazywa.

Ci ludzie muszą zacząć pracować. Dlaczego? Bo żyją kosztem innych. Dla mnie to nie innego, jak naruszenie prawa.

„ODGŁOSY”: — Czy rzeczywiście prawo?

K. GRZELEWSKA: — Może nie, bo nie ma jeszcze ustawy. Ale to nie o to chodzi. Proszę popatrzeć, w jakiej sytuacji jest u nas człowiek, który pracuje, ale czegoś nie dopilnuje. Na przykład jeśli nie zapłaci na czas komornego, to mnie zaraz znajdą, do pracy napiszą, ukarzą. Bo mnie wszyscy mają jak na dłoni: gdzie pracuje, należy mieszkać. I nikt się ze mną nie pleści. A jak ktoś nie pracuje, nie płaci komornego, nie wiadomo, z czego żyje, pewnie kradnie, to jakos nie można zrobić ani z mieszkania wyrzucić, ani do pracy zmusić. I to właśnie oburza nas przede wszystkim.

I jeszcze jedno. Oburza nas narastające nieposzanowanie pracy. Nie od dziś. To zjawisko robi się powszechne. Mówimy na przykład dużo o naszej trudnej egzystencji, o potrzebie poprawy warunków życia, ale nie mówimy że to musi się stać przez pracę.

Z. LEŚNIEWICZ: — Chciałbym wprowadzić do naszej dyskusji pewien nowy element. Może wynika on z zawodowego patrzenia na omawiane tu sprawy, ale nie ulega wątpliwości, że istnieje ścisłe związki z tym co nazywamy ogólnie „pasożytnictwem społecznym” albo ściślej marginesem a przestępstwami. Oto w pierwszym półroczu tego roku w woj. łódzkim popełniono 2.967 osób a w tym 1.489 nigdzie nie pracowało ani się nie uczyło.

„ODGŁOSY”: — Jakże to były przestępstwa?

Z. LEŚNIEWICZ: — Ano, właśnie. Dwa zabójstwa, 12 zwałców, 78 rozbojów, 608 kradzieży z włamaniem. Kradzieży mienia państwowego było 541 przypadków. Czynnej napaści na funkcjonariuszy MO — 58.

S. LELENTAL: — Czy tych ludzi można traktować jedynie jako osoby uchylające się od pracy czy nauki — jak to ujmuje projekt ustawy? Są to po prostu kryminaliści, przestępcy i kodeks karny przewiduje tu odpowiednie kary.

Z. LEŚNIEWICZ: — Zgoda. Przytoczyłem te dane po to aby zwrócić uwagę, że problemu tego nie można rozpatrywać tylko z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej, obowiązku pracy, ale również trzeba widzieć, że ów margines — jak go nazywamy — rodzi przestępstwa. Stanowi zagrożenie społeczne i pod tym względem.

R. ŁACHUT: — Nie zawężajmy jednak problemu pasożytnictwa społecznego do marginesu społecznego. Przytoczone dane mówią już o przestępstwach, ale nie o pasożytnictwie. Czy przestępstw nie popełniają ludzie pracujący?

Z. LEŚNIEWICZ: — Pewnie, że popełniają. Ale tak zwany margines społeczny stanowi nieustanne zagrożenie pod tym względem. Rodzi przestępstwa niejako w sposób nieunikniony.

R. ŁACHUT: — Bez wątpliwości. Tylko mnie chodzi o to, abyśmy nie zagubili tego szerszego widzenia pasożytnictwa to znaczy tych wszystkich którzy pracują a nie wykonują należycie swoich obowiązków.

„ODGŁOSY”: — Jest to jednak zbyt rozszerzanie tematu naszej dyskusji.

R. ŁACHUT: — Ale dla mnie to też jest pasożytnictwo. Tyle, że legalnie. Zgoda, że to się wiąże z moralnością społeczną. Ale, czy u nas nie funkcjonuje takie przekonanie: jak chcesz żyć, mu-



Foto: J. Zojdło

Ballada o śpiewającym żołnierzu

IGOR SIKIRYCKI

Władysławowi Broniewskiemu

Kroczył do boju za pułkiem pułk.
Dudnił głucho na polach.
Pył pióropuszem pryskał spod kół,
Po pas, po pierś, od kolan.

Pluli żołnierze na własny los,
Na piach, na ciasne buty.
I nagle jeden zanucił. W głos
Śpiewał już cały pluton.

Wiła się, rosła żołnierska pieśń
Wyżej niż pniaki topól —
Lżej było wtedy piechurom nieść
Troski i krople potu.

Błyski bagnatów zmierzch dawno skrył,
Ciężki jak mostu przęsło,
A pod nim żołnierz resztkami sił
Śpiewał pułkom — Zwycięstwo!

Z tym i podobnym pytaniem spotykam się coraz częściej na zebraniach w robotniczych kolektywach. Szczególnie często padają one wówczas, gdy rozmowa zajdzie na sprawy drastycznego wzrostu kosztów utrzymania, permanentnych braków rynkowych czy mnożących się w naszej kryzysowej gospodarce rzeczywistości różnego rodzaju form prywatnego kapitału. To fakt, że mało jest dziś spraw, które nie drażnią, boją lub niepokoją. Gdy tylko pójdę na zebranie w zakładzie pracy, to człowiek się nasłucha za wszystkich. I co z tego wynika? Myślę, że jednak coś.

TE PROSTE PYTANIA

Zadawane lektorom na zebraniach w zakładach pracy są inaczej formułowane niż te, które od czasu do czasu w niedziele słyszymy w programie I TvP. Są bardziej ostre, czasem nawet kłóliwe. Jest w nich troska i niepokój, obawa przed jutrem. Obawa o to, czy staczą do pierwszego, ale i o to, czy idziemy do przodu, właściwą drogą?

Robotnicy nie kwestionując nawet przez moment idei porozumienia narodowego, zniecierpliwieni czasem jak i upływa od momentu zrodzenia się idei do jej wciąż niemiłego urzeczywistnienia, a więc będąc „za” porozumieniem, bo „na dole”, jak twierdził długo wcześniej by je osiągnęli gdyby tylko im nie przeszkadzano, ci sami robotnicy, członkowie PZPR, pytają: czy partia dostatecznie broni interesów klasy robotniczej, ich interesów i sojuszniczej inteligencji pracującej?

Zwykle za tak postawionym pytaniem wyświadcza się w uzasadnieniu tego rodzaju argumenty:

Władza niedostatecznie panuje nad żywiołowym wzrostem kosztów utrzymania. Ten wzrost dotyka głównie pracujących w sektorze państwowym. Rodzi to wrażenie, że ciężar kosztów kryzysu w zdecydowanej większości ponosi ta właśnie grupa społeczeństwa. A przecież ciężar ten w najbliższej przyszłości nie będzie jeszcze miał, wręcz przeciwnie — według najnowszych szacunków w roku następnym wzrośnie o 25 procent. Tymczasem na kryzysie i jego pochodnych wyrastają fortuny polonijnych spółek i rodzimego (wcale już nie tak drobnego) kapitału. To już nie przyszłowiowy straganik z pietruszką czy namiot z folii dominują w bitnym pejzażu prywatnej inicjatywy. Ze nie wspomnę o rozrastającym się wciąż podziemiu gospodarczym, spekulującym na narodowej niedoli.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wobec rozległości i głębokości kryzysu, że w związku z poważnym niedomaganiem sektora uspołecznionego, decydenci muszą pójść na kompromis, przyzwilić na wsparcie, którego gospodarce narodowej winno i może udzielić rzemiosło, prywatne usługi itp. Tak poważna reprivatyzacja jest krokiem do tyłu, choć z punktu widzenia taktyki antykryzysowej posunięciem zasadnym. Można więc i trzeba zrobić ten krok, ale już nie wolno zrobić kroków dwóch, czy trzech.

Samozwanna wdrażana samorządność w zakładach pracy nie jest najlepszym argumentem, nie jest dobrym atutem władzy, gdy ta pragnie rozmawiać z załogami, ze społeczeństwem o demokracji socjalistycznej. Hamulec działający w procesie „odwieszania” samorządów pracowniczych są dowodem na to, jak daleko, jak bardzo i z jakim uporem znaczna część kadry kierowniczej pragnie wykorzystywać stan wojenny dla „ratowania” starego porządku. Czyna i to wbrew i na przekór nie tylko linii IX Zjazdu PZPR, partii robotniczej, ale i kierunkowi działania rządu gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W czym więc są interesy działania tego typu — pytają robotnicy.

Podobnie wiele zastrzeżeń budzi w dyskusji nad projektem planu trzyletniego poważne, żeby nie powiedzieć drastyczne ograniczenie funkcji socjalnych, opiekuńczych państwa. Istnieje obawa i wydaje się ona być w dużej mierze uzasadniona, że takie stanowisko władzy jeszcze mocniej pogłębi trudności ludzi pracy związane z kryzysem. Pozbawi to wielu pracujących szansy na urlopowy wypoczynek, wiecej spędzony w teatrze czy nawet kinie. Za wszystko teraz trzeba będzie płacić z własnej kieszeni i to w całości. A obowiązywać to będzie w sytuacji, kiedy ledwo starcza lub też i nie ma rzeczy najpotrzebniejszych, niezbędnych po to, aby żyć i pracować. A przecież pracować będzie trzeba lepiej, więcej i dłużej. W sytuacji poważnie utrudnionego dostępu do dóbr socjalnych i kulturalnych, nauki, książki, nastąpi dalsze, poważne rozwarstwienie i zantagonizowanie społeczeństwa. Dotknie to nie tylko „marginesu” ubogich, ale większości pracowników najemnych. W efekcie zaś umocni pozycję ekonomiczną, społeczną, polityczną i prestiżową grup najbogatszych, w tym warstw kapitalistycznych, elementu spekulacyjnego itp.

Kto i jakie potrafi dziś dać gwarancje, że będzie to zjawisko marginalne i przejściowe? Kto jest w stanie udowodnić, że będzie się to dziać w duchu uchwały IX Zjazdu partii?

Pozostaje więc odpowiedzieć sobie na pytanie następujące: na ile partia jako przewodnia i kierownicza siła polityczna narodu będzie potrafiła nad owymi skutkami kryzysu zapanować? W jakie i na ile efektywne instrumenty wyposażona jest władza, aby w porę i skutecznie położyć kres zjawiskom nie tylko negatywnym, ale i nagannym w zestawieniu z przynajmniej ustrojowym i powszechnym odczuciem sprawiedliwości społecznej?

Idąc tym tropem dochodzimy w końcu do pytania o znaczeniu już nie taktycznym, ale strategicznym — czy robimy jeden krok do tyłu, czy może dwa, czy trzy? Inaczej mówiąc: czy jesteśmy cofamy się do gospodarki o charakterze wojennym i swoistego, polskiego NEP, aby wreszcie powiedzmy sobie około roku 1990, powrócić w sposób pewny, zdecydowany na drogę budowy socjalizmu z perspektywą — niestety odległą dziś jeszcze — dochodzenia do rozwiniętego socjalizmu? Czy też może po tyłu meandrach zakrętach i kryzysach orientujemy się w kierunku bliżej dziś jeszcze nie określonego nawet teoretycznie modelu „państwa przejściowego” z poważnym

W czyim interesie?

KAROL JÓZEF STRYJSKI

udziałem sektora prywatnego w gospodarce (pozarolniczej) i znaczącej roli politycznej klasy drobnego kapitału? Osobiście optuję za rozwiązaniem pierwszym. A więc za jednym krokiem w tył. I ani jednego więcej!

Myślę, że partia nie ma wyboru. Jeśli chce pozostać wierna linii IX Zjazdu, jeśli pragnie pozostać lojalną wobec światowego ruchu komunistycznego, nie może pójść na nowy „eksperyment”. Kurs na demokratyzację życia społecznego i politycznego, reformę gospodarczą, na reformowanie socjalizmu jest właściwym, gwarantującym nam ponadto zachowanie sojuszy jak i wsparcia ze wspólnoty socjalistycznej. Model „państwa przejściowego” (nie mylić z etapem przejściowym) mógłby się okazać w praktyce nową wersją doktryny opozycyjnej, odległym echem teorii konwergencji.

Partia dziś potrzebuje silnego, mądrego i zdecydowanego wsparcia całej klasy robotniczej. Poparcie zaś robotników dla PZPR zarówno dziś jak i w przyszłości, zawsze, zależeć będzie nie od deklaracji i uchwał, ale przede wszystkim od tego, na ile w praktyce będzie ona wyrażała, broniła i realizowała oraz zabezpieczała interesy klasy panującej, tj. robotników. Jeśli bowiem nie można zabezpieczyć jednakowo interesów wszystkich klas i warstw społeczeństwa, a jak wiadomo w takiej sytuacji się aktualnie znajdujemy, wolno i należy prowadzić taką politykę, która będzie chroniła przede wszystkim tę klasę, której to jest ustrój.

Osobnym problemem staje się kwestia chłopstwa. Jej dyskryminowanie byłoby w skutkach niekorzystne także dla robotników. Trzeba więc uczynić wszystko, aby te dwie podstawowe klasy były względem siebie ekonomicznie i politycznie komplementarne. Aby głoszone od lat sojusze robotniczo-chłopski nabrał właściwych i prawdziwych treści.

PYTANIA O PERSPEKTYWĘ

Był czas, kiedy każdemu, kto przychodził na rozmowę z robotnikami zadawano pytania o to, co już dawno winno być dokonane. Swego rodzaju leitmotywem (niektórzy mówili, że obsesją społeczną) były tzw. rozliczenia. Dziś ludzie rzadziej wracają do tego tematu. Może po prostu zagonieni, omotani tysiącami przyziemnych spraw i trudności, mają już dosyć gadania. Za to częściej pytają o perspektywę. A więc o to, jak z tego „dołka” wyjdziemy, jakimi sposobami i kiedy? Są niezadowoleni, ale i niecierpliwi, a przy tym konsekwentni, wręcz uparci — i słusznie — w pytaniu o to, dokąd zmierzamy?

Jak wiadomo na zagadnienie to miała dać odpowiedź partii i całemu społeczeństwu deklaracja KC PZPR. Do jej projektu zgłoszono swego czasu wiele uwag krytycznych, wniosków polemicznych i poprawek. Posiadanie tego rodzaju dokumentu, jako uzupełnienie uchwały IX Zjazdu i zarazem ramowego, perspektywicznego programu budowy socjalizmu w Polsce, stanowiłoby rodzaj ideowo-politycznego drogowskazu na drodze, którą z takim trudem i z tak wieloma trudnościami mierzymy. Warto więc, aby każdy wiedział dokąd idziemy, po co i ku jakim celom, chociażby również po to, aby każdy komu nie będzie po drodze mógł wystąpić z szeregu i powiedzieć dlaczego występuje.

Istnieje paląca potrzeba nakreślenia perspektywy budowy socjalizmu w Polsce. Próbowano już w przeszłości to czynić. Niestety, że ze skutkiem żadnym. Pragnę przypomnieć, że po raz pierwszy o perspektywę, rychłego zbudowania rozwiniętego socjalizmu w Polsce pisano z początkiem lat sześćdziesiątych. W połowie tych lat z tych hasel zrezygnowano, aby powrócić znowu do wizji wysoko rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego z początkiem lat siedemdziesiątych. Z wielu powodów etapu tego nie osiągnięto. Po drodze okazało się ponadto, że sam model kolejnego, wyższego etapu naszego ustroju jest teoretycznie niedopracowany, szczególnie jeśli chodzi o nim uwzględnić obiektywne specyfiki i polskie uwarunkowania historyczne, polityczne, społeczne, itp. Stąd prosty wniosek i paląca po-

trzeba kontynuowania dalszych badań w obrębie naukowego komunizmu.

Nieprowadzenia w dotychczasowym prognozowaniu rozwoju społecznego, gwałtowne zwroty, załamania się i kryzysy zmuszają nas dziś do przyspieszenia oraz zrewidowania dotychczasowych badań nad teorią naukowego komunizmu: szczególnie etapów i perspektywy socjalizmu. Istnieje także, wychodząc od leninowskiej tezy o narodowych, specyficznych drogach dochodzenia do socjalizmu, potrzeba ponownego zbadania, a następnie nakreślenia tzw. polskiej drogi. W wielorakości rozwiązań narodowych, uwzględniających specyfikę i różnorodność narodowych cech, leży szansa pokonania kryzysu oraz przełamania kolejnego impasu. Rzecz jednak w tym, aby specyfika nie stanowiła alternatywy dla tego, co musi być wspólne, co stanowi o istocie naszego systemu. W tego typu rozumowaniu i działaniu można upatrywać przyszłość socjalizmu. Według tych zasad należy próbować ją określić i przedstawić do ogólnospołecznej wiadomości. Naukowy komunizm, wiedza o przyszłości ustroju nie może stanowić domeny kręgu wtajemniczonych.

Perspektywa budowy socjalizmu w Polsce i upowszechnienie w społeczeństwie wiedzy o kierunkach i sposobach praktycznych rozwiązań jest fundamentem, na którym należy wznosić gmach porozumienia narodowego. W budowaniu zgody narodowej winna obowiązywać zasada, iż do porozumienia może przystąpić każdy, kto jest za socjalizmem, za jego reformowaniem i umacnianiem. Nie możemy jednak szukać porozumienia z tymi, którzy pragną innej niż socjalistyczna przyszłość Polski.

Natomiast ci, którzy są potencjalnymi uczestnikami porozumienia nie mogą nadal tkwić w wątpliwościach i zahamowaniach, czy niedomowieniach. Sytuację tę można nawet obiektywnie rozumieć, gdyż wynika ona z niedobrych doświadczeń przeszłości. Stąd rodzi się np. pytanie — czym dla partii i władzy ma być porozumienie, zabiegiem taktycznym czy wynika ono ze strategicznych założeń? Partia na to pytanie już odpowiedziała, pozwalając się na doświadczenia ruchu robotniczego, z których jasno wynika, że swoje cele klasowe i narodowe może jedynie osiągnąć w sojuszu z innymi siłami politycznymi, godzącymi się działać w ramach socjalizmu.

Jeśli ktoś z potencjalnych uczestników porozumienia nie bierze tego założenia pod uwagę, to nasuwa się podejrzenie, że przyświeca mu nie interes narodu, a partykularne cele. Nie sprzyja to realizacji idei narodowego odrodzenia.

Trzeba wszakże powiedzieć jasno, iż istota porozumienia nie sprowadza się do jego struktury. Jego sednem jest i może być jedynie treść, w której zapisane musi zostać jasno i konsekwentnie: interes narodu, gwarancje i przyszłość socjalizmu, demokracja i sprawiedliwość społeczna, niezbędna siła i suwerenność państwa oraz skuteczne sposoby ich egzekucji. Struktury porozumienia i odrodzenia narodowego to elementy wtórne. Nie PRON jest naszą ostatnią szansą. Wielką szansą zgodnej budowy socjalizmu w Polsce i obrony naszych narodowych interesów realizowanych według powyższych nakreślonych zasad jest porozumienie, a nie jego struktury. Jeśli te ostatnie okażą się mało skuteczne, nie trafione, to będzie trzeba je doskonalic, a może nawet zmienić.

Natomiast, gdyby nie udało nam się osiągnąć w stosunkowo szybkim czasie jakościowego postępu w budowaniu i umacnianiu linii porozumienia narodowego to wówczas — dają się słyszeć takie głosy — nie pozostanie nam nic innego, jak konsekwentnie wyegzekwować wszystkie treści dyktatury proletariatu. Niektórzy idą nawet dalej i wołają o wprowadzenie wojennego komunizmu, nie bacząc, że byłoby to naruszenie sojuszniczego charakteru układu klasowego.

Jeśli jednak taką alternatywę wzięć pod uwagę, to trzeba stwierdzić, że forma sprawowania dyktatury proletariatu musiałaby zostać dostosowana z jednej strony do czasu i jego wymagań, do poziomu aspiracji i świadomości społecznej, z drugiej zaś — także do wymagań sytuacji. W żadnym wypadku nie mogłoby to przypominać ani kopię, ani zdystryktowanego stalinizmu. Stalinizm

nie był (jak myślnie twierdzą niektórzy z dogmatyków) istotą dyktatury proletariatu, a tragiczną karykaturą tego modelu władzy, jej wypaczeniem, a nawet zaprzeczeniem.

Pozornie taka alternatywa wydaje się prosta i oczywista. Byłoby to jednakże krok w tył. Rozwiązanie takie oznaczałoby zwrot w procesie demokratyzacji życia politycznego i społecznego.

PRZEWODNIA I KIEROWNICZA

Wracając do źródeł marksizmu, naukowego komunizmu oraz uchwały IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, należy sprecyzować treści, które kryją się pod sformułowaniami: „kierownicza i przewodnia rola partii”. Wyjaśnienie tej kwestii ma poważne znaczenie dla dalszego rozwoju demokracji socjalistycznej. Ale ani warunki życia politycznego przed 13 grudnia 1981 roku, ani po 13 grudnia nie sprzyjały temu. Partia w toku codziennej, bieżącej pracy dopiero odbudowuje swoje siły, co nie sprzyja teoretycznym rozważaniom. Nie wolno jednak zapomnieć, że moment zawieszenia stanu wojennego nie może zastać partii zaskoczonych, w miernej kondycji ideowo-politycznej i tym bardziej organizacyjnej. Będzie to bowiem czas, w którym PZPR, jako przewodnia siła narodu będzie musiała wziąć na siebie wszystkie trudności tej roli.

Na osłabienie kondycji ideowo-politycznej partii miał także pewien wpływ zabieg konieczny z punktu widzenia walki z groźbą frańcyzności, bolesny, ale niezbędny i nie bez skutków ubocznych. Chodzi o odcięcie „skrzydeł” partii.

Tu trzeba przypomnieć, że zarówno pod wpływem ataków opozycji politycznej, jak i ze względu na słabość wewnętrzną partii nie udało się zdyskontować dorobku IX Zjazdu. Dziś dopiero wracamy do jego uchwał, ale trudno jeszcze powiedzieć, że potrafimy to robić właściwie. Z tych to powodów nie nastąpiło scementowanie w centrum partii, gdyż pozostali w niej jeszcze ludzie chwielni, karierowicze, jak i ludzie przypadkowi. Dopiero dalsza walka polityczna, jaka partia prowadzi i będzie prowadziła, pozwoli na dopełnienie procesu konsolidacji.

Wracając do spraw przewodniej i kierowniczej funkcji partii w państwie i społeczeństwie należy raz jeszcze przypomnieć, że nie są to określenia ani przeciwnostawne, ani zamienna. Funkcja kierownicza PZPR winna być konsekwentnie i w pełni stosowana w odniesieniu do administracji państwowej i gospodarczej, jak też innych struktur państwa. Sprawowana ona powinna być poprzez wpływ partii na politykę kadrową, jak też poprzez właściwe wypełnianie roli politycznej przez podstawowe organizacje partyjne.

Funkcja ta musi też być wypełniana poprzez członków partii, działających w jej imieniu i zgodnie z jej programem w takich instytucjach demokracji socjalistycznej, jak samorząd pracowniczy i rady narodowe.

Przewodnia rola partii robotniczej, partii marksistowskiej spełniana musi być w odniesieniu do wszystkich składowych elementów systemu politycznego: organizacji młodzieżowych, związkowych, społecznych, instancji samorządowych i spółdzielczych, i innych. Wszędzie tam partia musi prezentować swój punkt widzenia i interes klasy robotniczej poprzez swoich członków.

Wielkie znaczenie dla prawidłowego spełnienia przewodniej roli partii w funkcjonowaniu koalicyjnego układu władzy ma udział jej członków w pracach Sejmu i rządu. Wyraża się on aktywnością w pracy Komisji Porozumiewawczej i klubów poselskich.

Od zasad tych partii odstąpić nie wolno. Byłoby to niedochowaniem zobowiązań i niedotrzymaniem treści uchwał podjętych na IX Zjeździe. Równocześnie trzeba poszukiwać najlepszych i najskuteczniejszych form wypełniania zarówno jednej, jak i drugiej funkcji. Odpowiedzialności ani ciężaru z PZPR za pełne i prawidłowe spełnienie tej powinności nikt ani nic nie zdejmie.

Podobnie nikt i nic nie zwolni nas, wszystkich członków partii, od odpowiedzialności za jej stan dziś, a tym bardziej w zapowiedzianym odwołaniu stanu wojennego. Będzie to bowiem oznaczało powrót do pełnej odpowiedzialności PZPR za wszystko, powrót do zasad statutowych i koalicyjnego charakteru władzy, do zatrzymanego tu i ówdzie procesu wdrażania uchwał i zasad IX Nadzwyczajnego Zjazdu.

W praktyce będzie to oznaczało, że PZPR będzie musiała swoim członkom i całej klasie robotniczej udzielić odpowiedzi na postawione na wstępie artykułu pytanie: w czym to wszystko interesie? Jeśli już nigdy nie ma się powtórzyć żaden „polski zakręt” i jeżeli nie mamy powrócić do chaosu z okresu między sierpniem a grudniem, odpowiedź będzie mogła być tylko jedna. W swojej treści zawierająca powinna mądre i konsekwentne skłócenie interesów klasowych i narodowych, umocnienie socjalistycznego i robotniczego charakteru państwa i władzy. Nie można też będzie nigdy w przyszłości zlekceważyć nauki płynącej z sierpnia 1980 i grudnia 1981 roku. A więc nie wolno będzie zarówno ignorować idei, aspiracji i ambicji wyzwolonych w robotniczym protestie sierpniowym ani konkluzji, których pochodną była decyzja o stanie wojennym. Kreując i budując linię porozumienia narodowego musi nam, członkom partii, towarzyszyć zawsze świadomość, że PZPR nie może w tym przymierzu być siłą nijaką. Musi pozostać sobą — partią marksistowsko-leninowską. Tylko takie porozumienie będzie miało sens i przyszłość. Kreując zaś perspektywę dla Polski należy w pełni uwzględnić wszystkie realne przesłanki wytyczenia polskiej drogi do socjalizmu, a potem konsekwentnego przestrzegania tego kursu. Winna to być droga, którą uparcie i uważnie postępując uda się nam ominąć wstrząsy i „zakrety” podobne do tych, które przeżyliśmy i przeżywamy.





63 dni Powstania Warszawskiego

Tekst i reprodukcje zdjęć MIROSŁAW ZAJDLER

Gdyby się chciało treść tej wystawy wyrazić tylko słowami, to z pewnością zabrzmiałyby banalnie. Trwa, a właściwie żyje od godziny „W” 1 sierpnia, na terenie dawnej fabryki Norblina przy ul. Żelaznej W mieście, w którym istniał ruch oporu i w podziemiach produkowano potajemnie amunicję. Nienaruszalny zakątek z okresu walk stał się po 38 latach miejscem dla niej najważniejszym. Powstała z inicjatywy

byłych żołnierzy Ruchu Oporu. Do tej pory odwiedziło ją 1.300.000 osób niemal z całego świata. Ogromna ilość eksponatów i dokumentów, wkomponowanych w 1500 zdjęć, tworzy porównywalny ładunek emocjonalny, oparty na prawdzie historycznej. Fotografia surowa, a zarazem głęboka w swojej epickiej narracji, wierna zdaniem i autentycznym ludziom. Wystawa cały czas żyje, ludzie rozpoznają się na

zdjęciach, uzupełniają podpisy pod nimi. Poglębia się wiedza o Powstaniu. Idąc trasą walki wśród powstańczych barykad słychać odtwarzane komunikaty polskie i niemieckie, słychać piosenki z tamtych dni. Nasuwają się refleksje... Tak dużo ich zginęło, pozostało po nich to, o czym nigdy nie myśleli — kartka historii. Bohaterska i bolesna.

W księdze pamiątkowej kilka tysięcy wpisów w różnych

językach: „Byłem 1.VIII.1944, jestem 30.VIII.1982. Przeżyłem to jeszcze raz, by nigdy więcej”, „Tej ekspozycji likwidować nie wolno, nie godzi się”, „Słów brak, każde zabrzmiałoby fałszywie”, „Jesteśmy młodzi, ale ta wystawa wycisnęła nam izy z oczu. Zaden film, nawet najbardziej „dokumentalny” nie spowodował takiej reakcji!”

Gdy jeszcze niedawno z bezmierną troską i głębokim żalem stwierdzaliśmy upadek równie niedawnej świetności drugiej, jeśli nie pierwszej niegdys w naszym kraju sceny operowej, które to miało wyrobić sobie łódzki Teatr Wielki w ciągu kilku zaledwie pierwszych sezonów działalności w swojej imponującej siedzibie, naszym ubolewaniu nad tym faktem towarzyszyła obawa, że na odrobienie poniesionych przez straty artystycznych trzeba będzie kilku lub kilkunastu sezonów intensywnej pracy. Przekonanie o konieczności intensywnych działań jego kierownictwa i całego zespołu towarzyszy nam nadal, bo tak czy inaczej nawet nie kończące się pasmo sukcesów nigdy i nikogo z obowiązku takiego nie zwalnia, ale dziś zrodziła się w nas nadzieja na szybszy, wcześniejszy niż obliczaliśmy to z uzasadnionym przecielem pesymizmem, renesans wielkości łódzkiego Wielkiego, bo choć wszystko jeszcze jest przed nami to przecielem sceny tej droga do celu wydaje się prostsza, i to nie tylko dlatego, by nagle stała się łatwiejsza, ale ponieważ znalazłono wreszcie — jak się zdaje — jedyny sposób jej pokonania. Tym „odpowiednim sposobem” nie są ani zawsze dotychczas konieczne większe pieniądze, ani jakaś wyjątkowo ciepłarniana atmosfera ilościowości władzy (choć ich troski o każdą z rokujących pomysłów nadzieję placówek artystycznych nigdy nie może braknąć), ani wreszcie ulgowa taryfa stosowana przez krytykę czy pobłażliwość i wyrozumiałość publiczności. Owym jedynym „sposobem na Teatr Wielki w Łodzi” (i na wszystkie nasze teatry) jest prowadzenie przez właściwej polityki repertuarowej i troska o odpowiednio wysoką jakość realizacji poszczególnych pozycji repertuarowego planu.

Dla nikogo nie ulega zapewne wątpliwości, iż ów cudowny sposób jest oczywistością i typowym przykładem pomysłu „leżącego na ulicy”. To prawda. Ale prawdą jest również i to, że choć ulice nasze pomysłowy są pełne, to przecielem nie wszyscy potrafią je dostrzec i podjąć jakże mozolny trud pochycenia się po nie. Przykładem najjaszkrawszym z omawianej tu przez mnie dziedzin jest pomysł corocznej na początku każdego sezonu scenicznej prezentacji fragmentów dzieł, które wejdą na afisz. Jakże to proste i jakże cenne, jak bardzo zachęcające do bywania w tym teatrze, jak skutecznie ostrzające nasze artystyczne apetyty, prawda? A przecielem nikt nigdy przedtem... No, właśnie. Następnym już nie tyle pomysłem, ile dowodem czy raczej aktem odpowiedzialności jest anonowanie kolejnych galierii w swoim i zespołu imieniu wobec licznie zgromadzonej publiczności nie można się nie wywiązać. Nie ma lepszego sposobu na choćby tylko ewentualnie przyszłe „niemożności” niż rygor narzucony sobie. Jakże to proste...

Teatr operowy jest chyba ostatnim z działających obecnie teatrów, do którego chodzi się dla gwiazd. Łódzkie niebo operowe nigdy nie było ciemne, świeciły na nim i świecą gwiazdy pierwszej doprawdy wielkości. Najprostszym i najbardziej opłacalnym dla wszystkich, zainteresowanych sposobem eksploatacji ich blasku jest prezentacja gwiazd opery w repertuarze, w którym zająłoby one najpełniej. Równie oczywistą jest kwestia troski o to, by ów firmament jaśniał także i w przyszłości, a mówiąc konkretniej — by zespół gwiazd zasiliły młode, ale konieczne dobrze zapowiadające się kadry. Jedyną, a nie niosącą żadnego właściwie ryzyka, gwałtowną powrodozenia takiego przedsięwzięcia jest — jakże proste znowu — angażowanie do już istniejącego zespołu młodych artystów, którym świadectwo talentu dają nagrody zdobyte na międzynarodowych konkursach. Jest to oczywiście kwestia „nosa”, który pozwoli wyczuć i osobę i właściwy moment, a przecielem niby wszyscy go mają. Niby... Więc znowu — jakie to proste...

Integracja działalności programowej środowisk twórczych dla dobra kultury — ileż razy to hasło równie piękne i słuszne nieczym sławne i sławetne: „Sojusznicy kultury i sztuki” przewijało się w dyskusjach, referatach, programach działania i rozwoju, w sprawozdaniach i planach... W tych samych okolicznościach i równie często ubolewano nad rzekomo tylko obiektywną, bo przecielem najzupełniej abstrakcyjną i nieczym nie uzasadnioną niemożnością jego realizacji. A przecielem można było znacznie wcześniej wpaść na pomysł, że mając w Łodzi ośrodek telewizyjny, wytwórnię filmową i zespół operowych i baletowych gwiazd można robić tutaj właśnie operowe i baletowe filmy, a ich prezentacja wespół z produkowanymi w innych krajach filmowymi i telewizyjnymi dziełami tego samego gatunku stać się może festiwałem rozslawiającym miasto, jego kulturę, talent i dorobek działających tu twórców, dla których realizacja takiej właśnie inicjatywy kto wie, czy nie okazał się piaszczyzną integrującą jakże często nazbyt sobie odległe środowiska artystyczne.

Pomysł goni pomysł — powiedzą Czytelnicy. Dodadzą też, nie bez racji, że o pomysł nie jest trudno i rzeczywistość. Z zachwytem dla samych tylko pomysłów metodą wstrząsów rzeczywistość wszystkich nas wyleczyła. Więc choć z jednej strony... takie to proste, to przecielem wszystkie jeszcze jest przed nami.

Łódzki Teatr Wielki postawił przed sobą w tym sezonie bardzo trudne zadania. Jego dyrektor — Sławomir Pietras zebrany na koncercie inauguracyjnym kolejny sezon działalności tej sceny licząc publiczności zaanonsował premiery: „Zydówki” Jacquesa Hallyego, „Marty” Friedricha von Flotowa, „Eugeniusza Oniegina” Piotra Czajkowskiego i „Normy” Vincenza Belliniego. W inscenizacjach tych dzieł usłyszemy między innymi Teresę May Czyżowską, Ewelinę Kwaśniewską, Krystynę Rorbach-Walaszek, Ryszarda Raczewicz, Danutę Salską, Zdzisława Krzywickiego, Romana Werlińskiego, Zygmunta Zajęca, Tadeusza Galczuka, Jerzego Wołniaka, Tomasza Piłasa, Tadeusza Kopackiego, Jerzego Jadcza i Władysława Malczewskiego (który jest bohaterem pierwszego z powstających w łódzkiej „Oświetlone” filmów o gwiazdach naszej sceny).

Publiczność łódzka gorąco oklaskiwała Romualda Tesarowicza zaangażowanego właśnie do łódzkiego Teatru Wielkiego laureata tegorocznego Międzynarodowego Konkursu Muzycznego „Voci Verdiane” w Busetto. Na wspótracę z ta scena swojej młodzieńkiej, bo dopiero dwudziestodwuletniej użennicy — już laureatki, słynącej z wysokiego stopnia trudności Międzynarodowego Konkursu Muzycznego im. P. Czajkowskiego w Moskwie — Elżbiety Ardam wyraziła zgodę jej pani profesor Antonina Kawecka, w której kostiumie (zapewne tyleż „na szczęście” co dla ciągłości tradycji) młoda splotka wazcka wystąpiła po raz pierwszy na prawdziwej scenie operowej w arii Aidy z pierwszego aktu dzieła Verdiego.

By do dawnych tradycji nawiązać i przekonać do sprawy łódzkiego Teatru Wielkiego tak tej niegdys oddana nestorka polskiej wokalistyki, Wanda Weruńska dyrektor Pietras, ku naszej wielkiej satysfakcji, zaprosił tę wybitną śpiewaczkę na galowy koncert. Znaleźliśmy ją w świetnej jak zwykle formie i dobrzym „teowiu”, które oby jak najdłużej donosiłoby tej niegdys pierwszej damie polskiej sztuki operowej, Pani Wanda, przed laty ledna z inicjatorów (obok Jerzego Waldorffa) legendarnych już dzieł niemal „podziwów operowych” przywołanych warszawskich miomianów do łódzkiego Wielkiego, wyraźnie i serdecznie podzielała entuzjazm publiczności dla wszystkich zamierzeń tej sceny. Może więc znowu zachęca wspierając ją swoją życiowością i sympatią, może znowu będziemy ją gościć na czele przybywających tu oby jak najliczniej, rzesz melomanów. Wszak wszystko przed nami, ale choć takie to proste — odpuknij w nie malowane drzewo...

EWA PANKIEWICZ



W dyskusjach Polaków często przewija się stereotypowe już pytanie: uda się czy nie? Chodzi oczywiście o reformę gospodarczą, jej losy, pierwsze efekty i zagrożenia. Pojawiają się cząstkowe oceny i analizy wdrażania reformy opracowane przez biuro pełnomocnika rządu do spraw reformy. W publicystyce społeczno-ekonomicznej wiele jest spekulacji na temat szans realizowanej reformy. Wśród licznych głosów nie brak i takich, które ogłaszają SOS dla reformy, a także proponujących odegranie swoistego requiem dla założeń nowego systemu. Ciekawym paradoksem owych dyskusji jest krańcowość sądów o reformie, w której jedni widzą złowieszcze wydanie socjalizmu rynkowego a nawet NEP-u, drudzy zaś próbę kamuflowania starego systemu. Spotkać się można również z poglądami zmierzającymi do autonomizacji reformy jako samostanowienia, wyizolowanego od zewnętrznych uwarunkowań procesu, który powinien przebiegać zgodnie z rygorami pierwotnego scenariusza.

Spoleczny odbiór reformy gospodarczej obciążony jest dwojakiego rodzaju nieporozumieniami, które mogą być wykorzystywane przez adwersarzy reformy. Po pierwsze, fałszywe jest mniemanie, iż spadek stopy życiowej jest skutkiem wprowadzania reformy. Jest to iluzja, która wynika z czasowej zbieżności kryzysu gospodarczego i wdrażania reformy. Częstokroć zapomina się o tym, iż pauperyzacja społeczeństwa rozpoczęła się już w 1980 r., a jej spolegowanie nastąpiło na przełomie 1981/1982 r. Po wtóre, społeczeństwo sądzi, iż dobra reforma powinna dać natychmiastowe efekty, powinna szybko owocować. Skoro dotąd brak jest odczuwalnej poprawy sytuacji gospodarczej to rodzi się wniosek, iż reforma jest pociąganiem skazanym na niepowodzenie. Nastroje niecierpliwości i potrzeba szybkich sukcesów gospodarczych nie pozwalają na chłodny osąd mechanizmu reformy, który zanim zacznie funkcjonować w pełni skutecznie musi przejść przez fazę rozruchu, docierania się, harmonizacji poszczególnych jego elementów. Kapitalną rolę w owym mechanizmie odgrywają postawy ludzkie, przyzwyczajenia, zdolność do nowatorstwa. Reforma oznacza zmianę dotychczasowych stereotypów i metod działania w gospodarce, wymaga od kadr kierowniczych i robotników zmiany mentalności ekonomicznej. Rachunek ekonomiczny, racjonalność gospodarowania, samofinansowanie się — to podstawowe składniki wyznaczające styl myślenia i sposób postępowania producentów w warunkach startu reformy.

Ocena dotychczasowych pozytywów i negatywów wymaga podkreślenia, iż wprowadzane obecnie zasady działania przedsiębiorstw odbiegają od pierwotnych założeń reformy zawartych w „Kierunkach reformy gospodarczej”, który to dokument określa docelowy model funkcjonowania naszej gospodarki. W związku z tym mogą czuć się zawiedzeni zwolennicy reformy wcielanej w życie szybko i kompleksowo, niejako „z marszu”. Jednakże twarde realia naszej sytuacji gospodarczej i politycznej spowodowały, iż w 1982 r. przyjęto ograniczony w stosunku do pierwotnego wariant reformy. Głęboki kryzys gospodarczy i wymogi stanu wojennego nałożyły dosiężny gorszy na niektóre istotne założenia reformowanego systemu (samodzielność, samorządność). Zahamowaniu uległy, co jest niepokojącym symptolem, prace legislacyjne dotyczące zasad funkcjonowania centralnych organów gospodarczych — Rady Ministrów, Komisji Planowania, ministerstw funkcjonalnych itp. Pod ochronnym parasolem stanu wojennego odżywa biurokracja gospodarcza, której poważna część zainteresowana jest w restauracji starych reguł gry. Wydaje się, iż w miarę normalizacji sytuacji gospodarczej i politycznej kraju powstaną warunki dla realizacji pełnych założeń reformy, co pozwoli wyeliminować niebezpieczeństwo w szych skutkach tendencje zachowawcze reprezentowane przez część centralnej biurokracji.

Samodzielność

Wprowadzana w życie ograniczona reforma daje przedsiębiorstwom możliwość samodzielnego podejmowania określonych decyzji gospodarczych. Sfera samodzielnego wyboru dotyczy kształtowania planu przedsiębiorstwa, polityki zatrudnienia i płac, kooperacji etc. Swoboda działania w tym zakresie sprzyja umocnieniu roli rachunku ekonomicznego jako realnej kategorii. Rachunek ekonomiczny zaczyna oddziaływać na postępowanie przedsiębiorstw wymuszając racjonalność gospodarowania. Przejawami tego są: poprawa wykorzystywania surowców i materiałów, racjonalizacja kooperacji, poszukiwanie tańszych źródeł zaopatrzenia w surowce, eliminowanie rozrzutności w gospodarce finansowej itp.

W przekonaniu kadry kierowniczej przemysłu istniejący obecnie zakres samodzielności ekonomicznej przedsiębiorstw jest jednak wystarczający do operatywnego zarządzania firmą socjalistyczną. Jest rzeczą bezsporną, że w otoczeniu przedsiębiorstwa występuje mnóstwo obiektów uwarunkowań krępujących swobodę ich działania takich jak: niedobór surowców, olbrzymie zadłużenie kraju, obfity nawis inflacyjny. Czynniki te nie powinny jednak stanowić pretekstu do recydywy starych metod administracyjno-nakazowych pozbawiających przedsiębiorstwo dostatecznej swobody działania, która jest warunkiem sine qua non racjonalności gospodarcej. Trudno znaleźć rzeczową argumentację dla stosowania przez centrale zbytu przetargowej procedury w przyznawaniu surowców i materiałów przedsiębiorstwom realizującym programy operacyjne, ograniczania możliwości wyboru kooperantów czy blokowania rachunków dewizowych przedsiębiorstw przez Bank Handlowy SA. Zwłaszcza to ostatnie ograniczenie jest szczególnie dotkliwie odczuwane przez przedsiębiorstwa, których postępek w produkcji uzależniony jest od importu zaopatrzeniowego. Formalnie rzecz ujmując przedsiębiorstwa eksportujące towary do strefy dolarowej mają prawo do tzw. odpisu dewizowego, z którego mogą czerpać środki na sfinansowanie importu. W praktyce istnieje olbrzymie trudności z uruchomieniem owych środków skoncentrowanych w Banku Handlowym. Można zrozumieć politykę banku, który dąży do wykorzystywania skromnych dewiz na import podstawowych dla gospodarki surowców, ale nie usprawiedliwia to w niczym metod działania banku przypominających Krezusa. Tym bardziej, iż częstokroć w grę wchodzi drobne kwoty dolarowe niezbędne do realizacji ważnych zamówień eksportowych. W wyniku obstrukcyjnego działania oweo banku przedsiębiorstwa zmuszone są niekiedy rezygnować z korzystnych kontaktów eksportowych, co jest ewidentną stratą dla całej gospodarki i dla banku również.

Na realizację zasady samodzielności negatywnie wpływa stan prawny regulujący uprawnienia i obowiązki przedsiębiorstw w gospodarce. Plagą są obowiązujące nadal w resortach zbędne akty prawne, pozostające często w sprzeczności z duchem i literą reformy. Oprócz tego obserwuje się opóźnienia w wydawaniu aktów podstawowych i wykonawczych. Wiadomo, że przedsiębiorstwa opierają się przede wszystkim na aktach wykonawczych, a nie ustawach sejmowych, które wyznaczają tylko ramy prawne działania.

Frapującym i budzącym kontrowersje problemem jest przynależność przedsiębiorstw do zrzeszeń dobrowolnych. Jest to kwestia mająca określone implikacje dla zasady samodzielności przedsiębiorstwa. Zgodnie z założeniami reformy przedsiębiorstwa mogą tworzyć dobrowolne zrzeszenia w celu realizacji konkretnych przedsięwzięć (np. wspólne inwestycje, działalność badawczo-rozwojowa). Tymczasem drogę torują sobie zrzeszenia branżowe, które w przyszłości mogą spełniać funkcję pośredniego zarządzania. Takie niebezpieczeństwo jest zupełnie realne, zważywszy, że obsadę kadrową owych instytucji stanowią pracownicy byłych zjednoczeń, a zakres przedmiotowy działania w zasadzie jest ten sam.

Poglądy pracowników przedsiębiorstw w sprawie zrzeszeń dobrowolnych są głęboko zróżnicowane. Z socjologicznego punktu widzenia ciekawy jest fakt, że dyrektorzy przedsiębiorstw przeważnie pozytywnie oceniają przynależność do zrzeszenia, motywując to ułatwieniami w uzyskiwaniu materiałów i surowców. Natomiast kierownicy poszczególnych komórek i szeregowi pracownicy wyrażają na ogół swój sceptycyzm wobec tych zrzeszeń, a niekiedy traktują je wręcz jako „konia trojańskiego” braku samodzielności. Znamienne jest, że nieliczni zbuntowani dyrektorzy

REFORMA — pierwsze doświadczenia

WITOLD KASPERKIEWICZ

odpiera ją koronny argument zwolenników zrzeszenia w zaopatrzeniu surowcowo-technicznym przedsiębiorstw. Twierdzą oni, że owa pomoc jest iluzoryczna, gdyż przedsiębiorstwo funkcjonujące w systemie programów operacyjnych ma w zasadzie zapewnione surowce, a nawet jeśli pojawiają się perturbacje to można je przewyciężyć poprzez spryt i operatywność kadry kierowniczej. Wobec tego rolę zrzeszenia upatrują oni jedynie w gromadzeniu zamówień przedsiębiorstw i przesłaniu ich do central zbytu surowców. Krótko mówiąc zrzeszenie jawi się tutaj jako pas transmisyjny między przedsiębiorstwami a otaczającymi je instytucjami życia gospodarczego. Przypomina to paternalistyczny system, w którym przedsiębiorstwo tak jak dziecko może kontaktować się ze swoim otoczeniem tylko za pośrednictwem jakiegoś zjednoczenia czy zrzeszenia — ojca.

Bodźce i antybodźce

Problemem skuteczności reformy jest wywołanie tendencji wzrostowych produkcji i proefektywnościowych postaw producentów. Ocena pierwszych miesięcy funkcjonowania reformy nie pozwala na optymistyczne wnioski w tej materii. Postęp osiągnięty w rozmianach produkcji i jej efektywności jest żaden albo bardzo niski. Nie ukształtował się jeszcze poprawnie działający i spójny mechanizm samoregulacji ekonomicznej oparty na wykorzystaniu logiki sprzężeń zwrotnych zachodzących między efektami ekonomicznymi, cenami i płacami przedsiębiorstwa. Istniejące obecnie współzależności między tymi kategoriami nie stwarzają przymusu ekonomicznego wzrostu produkcji, co pogłębia stagnacyjność całego systemu. Pomimo tego sytuacja finansowa wielu przedsiębiorstw jest zadowalająca i daleka od widma bankructwa. Typową sytuację naszych przedsiębiorstw zilustrować można następująco: niski stopień wykorzystania zdolności wytwórczych (60—70 procent), spadek wydajności pracy, niewielkie zmniejszenie zatrudnienia i względnie wysoki zysk. Jak wyjaśnić ową ewenement ekonomiczny? Tajemnicą tej arcydziwnej sytuacji jest prosta: spadek produkcji przedsiębiorstwa rekompensują sobie z nadwyżką podniesieniem cen na swoje wyroby i usługi. Jest to możliwe dzięki systemowi cen umownych, które w warunkach zniszczonego rynku przerażają się w ceny monopolowe narzucane odbiorcom przez producentów — monopolistów. Śluzna idea cen umownych przekształca się w swoją karykaturę.

Podstawowym mankamentem ekonomicznych zasad funkcjonowania przedsiębiorstw jest słaby, nieagresywny system motywacyjny. W opinii kierownictwa i załóg przedsiębiorstw jest to „pięta Achillesa” wdrażanej reformy, czynnik sprawczy stagnacji w produkcji. Niewątpliwą prawdą jest, iż dotychczasowe rozwiązania placowe w niewielkim stopniu integrują placę z efektami pracy załogi i pojedynczego pracownika. Obciążenie placę licznymi dodatkami socjalnymi prowadzi do rozmycia związku między pracą a placą, sprzyja lenistwu i bierności. W niektórych przedsiębiorstwach nie czekając na uchwały Rady Ministrów przystąpiono do porządkowania zasad wynagradzania pracowników opierając je na silnym powiązaniu zarobków z ilością i jakością wytworzonych produktów, skróceniu tzw. paska placowego i wprowadzeniu nagród za dyspozycyjność czyli obecność w pracy. W lipcu 1982 r. przedsiębiorstwa mogły skorzystać z uchwały nr 135 Rady Ministrów w sprawie dostosowania niektórych zasad wynagradzania pracowników do reformy gospodarczej. Uchwała ta jest typowym półśrodkiem wprowadzającym powierzchowne zmiany do systemu wynagradzania, np. zwiększa liczbę kategorii zaszerzgowania dla robotników z 9 do 11, wprowadza widełkowe tabele plac, stosując dla jednej kategorii zaszerzgowania różne stawki plac. Przedsiębiorstwa traktują tę uchwałę jako mały krok w kierunku kompleksowej reformy plac, która zgodnie z zapowiedziami rządu, powinna obowiązywać od 1 stycznia 1983 r.

Obserwując burzliwe dyskusje o systemie plac trudno oprzeć się refleksji o mitologizowaniu roli motywacji. Nieporozumienie polega na tym, że system motywacyjny rozpatruje się jako panaceum bez uwzględnienia otoczenia, w którym funkcjonują określone formuły placowe. I tak należy skonstatować, że nie uda się zbudować prawidłowego i w pełni skutecznego systemu motywacji pracowniczych w warunkach ostrych niedoborów towarowych, systemu reglamentacji dóbr rynkowych, skromnego zaopatrzenia przemysłu w surowce i materiały i wysokiego popytu na rynku pracy. Na potwierdzenie tej wątpliwości można przytoczyć przy-

kłady przedsiębiorstw, w których powiększono placę pracownikom w systemie akordowym od 1.000 zł do 1.500 zł per capita, uruchamiając bodźce dla wzrostu wydajności pracy. Okazało się, że pracownicy pieniądze wzięli i nie się nie zmieniło w wydajności i jakości produkcji.

Problemy motywacji ma swój wymiar społeczny i kulturowy, a nie tylko ekonomiczny. Nie można abstrahować od faktu, że w Polsce w ostatnich dziesięcioleciach nastąpiła degeneracja pracy jako cennej wartości społecznej. Dlatego też każdy, nawet najlepszy, system wynagradzania będzie jeszcze przez lata potykał się o barierę niskiej kultury pracy, demoralizacji pracowników i bierności.

Antybodźcem do podnoszenia efektywności i rozmiarów produkcji są rozwiązania fiskalne działające na zasadzie „gilotyny” podatkowej, a zwłaszcza opodatkowanie wzrostu przeciętnej placę na rzecz Funduszu Aktywizacji Zawodowej oraz podatek dochodowy. W przyszłości wzbogacony zostanie o podatek stabilizacyjny placę przy przedsiębiorstwach charakteryzujących się odpowiednim poziomem rentowności. Intencją stosowania zróżnicowanych i ostrych form fiskalnych jest przeciwdziałanie inflacji, dążenie rządu do minimalizacji deficytu budżetowego. Istota tych przedsięwzięć wyraża się w stwierdzeniu Ministra Finansów, że „nie może być tak, iż przedsiębiorstwa są bogate a państwo biedne”. Z pewnością w tym dictum tkwi ziarno prawdy, ale faktem pozostaje, że wiele przedsiębiorstw odczuwa boleśnie obciążenia podatkowe. W konstrukcji podatku dochodowego wyeksponowano ponad miarę jego funkcję drenażową neglując prawie zupełnie funkcję motywacyjną. Wysokie progresywne opodatkowanie zysku przedsiębiorstwa uzależnione od poziomu stopy rentowności (relacja zysku do kosztów przerobu) nie sprzyja działaniom oszczędnościowym, gdyż dodatkowy zysk pozostający w przedsiębiorstwie w wyniku zmniejszenia zużycia surowców, materiałów i energii jest nieproporcjonalnie niski w stosunku do wypracowanego efektu. Należy pamiętać, że koszty materialne stanowią w przemyśle blisko 70 proc. całości kosztów własnych i właśnie w tej pozycji tkwią potencjalnie największe możliwości ich redukcji.

W celu zwiększenia motywacyjnej funkcji podatku dochodowego należy zgłosić postulat zlagodzenia progresji podatkowej i wprowadzenia ulg podatkowych dla przedsiębiorstw legitymujących się rzeczywistym wzrostem efektywności produkcji przejawiającym się w zmniejszeniu zużycia materiałów na jednostkę wyrobu, racjonalizacji zatrudnienia itp. Zdefiniowania wymaga pojęcie kosztów nieuzasadnionych i włączenie ich do podstawy podatku dochodowego.

Poważnym niebezpieczeństwem dla wewnętrznej logiki nowego mechanizmu jest dość duża zmienność regulatorów ekonomicznych. Władza gospodarcza powodowana niecierpliwością podejmuje często pochopne decyzje prowadzące do destabilizacji systemu. Ciągła zmienność regulatorów i zasad ekonomicznych negatywnie wpływa na działalność przedsiębiorstw, które w tych warunkach nie mogą konsekwentnie realizować nakreślonej polityki. Egzemplifikacją tego może być uchwała 186 RM w sprawie zachęty do zwiększania produkcji w przedsiębiorstwach. W myśl uchwały, przedsiębiorstwa, które w drugim półroczu br. zwiększą produkcję sprzedaną (w cenach porównywalnych) mają prawo do obniżenia procentu przyrostu przeciętnego wynagrodzenia stanowiącego podstawę obliczania obciążeń na rzecz Funduszu Aktywizacji Zawodowej. Przedstawiona regulacja, jakkolwiek w swej intencji słuszna, de facto wprowadza do mechanizmu reformy obce ciało, wtręt szkodliwy dla logiki nowego systemu. Dlaczego? Primo: premiuje ona przedsiębiorstwa dozuające efekty produkcyjne, nagradza asekurantwo i ukrywanie rezerw czyli dobrze znane ułomności starego systemu. Z dobrodziejstw uchwały nie skorzystają przedsiębiorstwa, które pracują rzetelnie już od początku roku. Secundo: uchwała powraca do krytykowanej w przeszłości oceny przedsiębiorstw na podstawie mierników globalnych, a takim jest produkcja sprzedana.

Labilność reguł gry niczego dobrego nie wróży. Zachęcać może tylko kierownictwa przedsiębiorstw do spekulowania na zmieniach normach i wygrywania ich słabości dla osiągnięcia partykularnych celów.

opornie, żeby nie powiedzieć obstrukcyjnie. Według dotychczasowych ocen na 5.400 istniejących przedsiębiorstw samorząd funkcjonuje w 135 (2,8 proc.).

Samorząd

Truizmem jest teza, iż autentyzm reformy zależy od realizacji zasady samorządności pracowniczej. W obecnej sytuacji truizm ów należy powtarzać, gdyż proces odradzania się samorządów przebiega żółwie tempem przywracania do życia samorządów jest podktywane dwoma względami. Pierwszy wypływa z rezerwy, z jaką do samorządów podchodzą załogi i kierownictwa przedsiębiorstw. Drugi wynika z przewlekłej i zbiorokrajowej procedury zatwierdzania wniosków o reaktywowanie samorządu przez samego ministra resortowego. Kryje się w tej procedurze pewne curiosum — o losie samorządu w zakładzie nie decyduje załoga, lecz organ zwierzchni.

Zagmatwana sytuacja społeczno-gospodarcza kraju spowodowała, że poglądy kadry kierowniczej w kwestii samorządności pracowniczej uległy głębokiemu zróżnicowaniu. Mamy w tej materii do czynienia z pluralizmem opinii. W wielkim skrócie można wyróżnić kilka grup poglądów:

— o losie samorządu w przedsiębiorstwie powinna zadecydować załoga w drodze referendum; stanowisko kierownictwa jest indyferentne,

— samorząd jest niezbędny, aby firmować niepopularne dla załogi decyzje ekonomiczne; stanowisko kierownictwa przychylnie, ale nie z miłości do samorządu, lecz z przyczyn taktycznych,

— samorząd jest zbędnym ogniwem w zarządzaniu przedsiębiorstwem, którym powinna sterować fachowa kadra menedżerów socjalistycznych,

— samorząd należy kultywować i popierać, gdyż jest to jedyne lekarstwo na apatię i bierność załóg.

Wydaje się, iż nadszedł najwyższy czas, aby od dyskusji i polemik na temat samorządu przejść do czynów. Bez kompetentnych i aktywnych samorządów reforma nie spełni się. Pozostanie tylko metaforą publicystyczną na użytek wąskiego grona ludzi. Natomiast dla mas pracujących pozostanie pustym dźwiękiem.

Post Scriptum

Z pierwszego okresu funkcjonowania reformy mogą wynikać wązkie, a nawet decydujące konsekwencje dla jej powodzenia. Niedopuszczalne jest próżno wprowadzanie do mechanizmu ekonomicznego rozwiązań doraźnych, sprzecznych z logiką reformy, dezorientujących przedsiębiorstwa. Przesłanką powodzenia reformy jest względna stabilność reguł gry ekonomicznej i konsekwentna realizacja przyjętego programu zmian systemowych. Należy odrzucić te działania, które zmierzają do „reformowania” reformy już na samym starcie. Śluzna reforma WOG z początku lat 70 tych niezbicie dowiodła, że korekty nowego systemu dokonywane zanim zaczną on w pełni funkcjonować prowadzą do upadku ambicznych planów reformatorskich.



Wybuch pierwszej wojny światowej zastał Romana Dmowskiego w Szwajcarii, ale już 12 sierpnia 1914 roku przyjechał do Petersburga. Jego powrót zbiegł się z wydaniem (14 sierpnia) odczytu Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza do Polaków, obiecującej, że pod berłem cara „...odrodzi się Polska swobodna w swojej wierze, języku i samorządzie...”

Dmowski zdawał sobie sprawę z ograniczonego charakteru odczytu, ale przyjął ją pozytywnie, bowiem mieściła się w jego koncepcji niepodległościowej. Zaakceptował też w pełni, wydaną jeszcze pod jego nieobecność (8 sierpnia) deklarację Koła Polskiego, opowiadającą się po stronie caratu. Uważał, że zwycięstwo Rosji spowoduje zjednoczenie ziem polskich, a zjednoczenie musi doprowadzić do niepodległości.

O tej przyszłej niepodległości mówił publicznie bardzo niechętnie starając się nie drażnić kraju, z którego sukcesami militarnymi wiązał niemałe nadzieje. Uważał, że jeszcze nie nadszedł czas, aby mówić o kwestii polskiej, czas natomiast, aby czynnie zaangażować się przeciw Niemcom. W tym celu, po utworzeniu w Warszawie Komitetu Narodowego Polskiego, w którym Roman Dmowski został prezesem Wydziału Wykonawczego, przystąpiono do organizowania armii polskiej. Na drodze stanęły jednak dwie przeszkody — i ochotników nie było zbyt wielu i rząd carski nie był w utworzeniu armii polskiej zainteresowany. Ostatecznie utworzono jedynie niewielki kuczbnie legion puławski.

Na krótko przed zajęciem Warszawy przez Niemców (5 sierpnia 1915) Dmowski wyjechał do Petersburga, gdzie doprowadził do założenia polskiego pisma — tygodnika „Sprawa Polska”, w którym zamieszczał swoje artykuły, konsekwentnie prezentując poglądy prorosyjskie. Trwało to do listopada 1915 roku, kiedy to Dmowski, razem z wydawcą „Sprawy Polskiej” Konstantym hr. Broel-Platerem wyjechał do Anglii.

Trudno powiedzieć czy zajęcie przez Niemców Warszawy i znacznej części ziem polskich zaboru rosyjskiego, czy inne jakiegoś czynniki były tego przyczyną, ale faktem jest, że Roman Dmowski przewertował swoje poglądy na silę carskiej Rosji i uznał, iż o losach wojny zdecydowała państwa zachodnie. Znalazłszy się na Zachodzie Dmowski natychmiast podjął działalność polityczną, nawiązał kontakty z istniejącą w Lozannie od września 1915 roku Centralną Agencją Polską, wyjechał do Rzymu, gdzie prowadził rozmowy z politykami włoskimi i uzyskał audiencję u papieża Benedykta XIV.

Dyplomacja watykańska rozczarowała Dmowskiego. Zraził się do niej szczególnie wtedy, gdy referując kardynałowi Gastparriemu swoje plany odzyskania niepodległości przez zjednoczenie, usłyszał — „...wasza przyszłość jest z Austrią...”

Prowadząc rozmowy z politykami zachodnimi Roman Dmowski miał świadomość tego, że niewątpliwie toruje mu drogę jego dotychczasowa prorosyjska postawa, jako że Rosja była na zachodzie sojusznikiem cenionym, ponoszącym niemałe ofiary w wojnie i odciążającym pozostałe państwa Ententy.

Tę swoją linię Dmowski utrzymywał konsekwentnie. Ze swych działań w Lozannie i Rzymie złożył sprawozdanie ambasadorowi rosyjskiemu w Paryżu, Izwolskiemu, a następnie przekazał mu, oraz politykom innych państw Ententy, memoriał sugerujący potrzebę wypowiedzenia się tych państw w sprawie niepodległości Polski. Był to nowy element w politycznych działaniach Romana Dmowskiego, jako że dotąd głosił konieczność wyczekiwania na właściwy moment.

We wspomnianym memoriale stwierdzał Dmowski, iż „...Polacy, którzy są narodem liczebniejszym i bardziej rozwiniętym niż wszystkie inne narody Europy Środkowej i Bałkanów posiadają te same co one prawo do niepodległości państwa narodowego i nie mogą w swym sumieniu rzec się tego prawa, które im zresztą przysługują wszystkie inne narody...”

Memoriał stanowił akt polityczny ogromnej wagi. Po raz pierwszy bowiem w warunkach wielkiej wojny polscy działacze polityczni oficjalnie stawali wobec państw zachodu sprawę niepodległości Polski.

Roman Dmowski był już w tym czasie na zachodzie osobą znaną i cenioną. W sierpniu 1915 r. Uniwersytet w Cambridge przyznał mu doktorat honoris causa.

Inicjatywa Dmowskiego nie dała jednak spodziewanych rezultatów. Rząd rosyjski uczynił wszystko aby nie dopuścić do postawienia kwestii polskiej na forum międzynarodowym, a państwa zachodnie nie należały nie chcąc sobie zrazić potężnego i potrzebnego sojusznika.

Nowy element do rozważań nad sprawą polską wniósł akt 2 cesarza z 5 listopada 1916 r. Próba państw centralnych zaoferowania karta polska zwiększyła jakby szanse Dmowskiego na dopominanie się o zrozumienie dla sprawy niepodległości Polski u państw Ententy. Akt 2 cesarza niewątpliwie wpłynął także na stanowisko amerykańskie i przyniesił wydanie przez prezydenta Wilsona, w dniu 22 stycznia 1917 r. odczytu do Kongresu, w którym stwierdził że „...Mezowie stanu uszedł się godnego zdania, że winna powstać zjednoczona, niepodległa i samodzielna Polska...”

Wybuch rewolucji lutowej w Petersburgu spowodował, że Dmowski zaczął nalegać na

Anglię, aby wymogła na Rządzie Tymczasowym wypowiedzenie się w kwestii polskiej. Być może zabiegi Anglików miały tu pewien wpływ, ale niewątpliwie o deklaracji Rządu Tymczasowego z marca 1917 r. zdecydowało stanowisko Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, która w marcu stwierdziła, że „...Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym...”

Powstała nowa sytuacja. Rząd dawnego państwa zaborczego wypowiedział się za niepodległość Polski, co krajom zachodnim — Francji, Anglii, Włochom rozwiązało ręce w stawianiu sprawy polskiej na forum międzynarodowym.

Z zaistniałej nowej sytuacji Roman Dmowski szybko wyciągnął wnioski i już w lipcu 1917

MYŚL POLITYCZNA ROMANA DMOWSKIEGO (2)

Emisariusz narodowej sprawy

roku rozesał opracowany przez siebie memoriał „Problems of Central and Eastern Europe”, zawierający propozycje przyszłego terytorium państwa polskiego. Koncepcja zachodniej granicy sprowadzała się do przyznania Polsce prawie całego Górnego Śląska, Poznańskiego, Pomorza oraz większej części Prus Wschodnich. Szczególnie przetrzebał R. Dmowski przed zastrzeżeniem przez Niemcy Prus Wschodnich, co — jak twierdził — stanowiłoby ciągłe zagrożenie dla pokoju.

Wschodnią granicę — według Dmowskiego — miały wyznaczać wpływy polskiej kultury lub dominujące wyznanie katolickie. W obrębie państwa polskiego miały się znaleźć dotychczasowe gubernie: Kowieńska, Wileńska, Grodzieńska, Mińska i Wołyń. Trzeba stwierdzić, że koncepcja inkorporacyjna, z góry zakładająca zle stosunki między Polską i Rosją dążącą do utworzenia państwa wielonarodowościowego, wyrastała z nacjonalistycznego podłoża i nie wystawiała Dmowskiemu opinii — dalekocześniego polityka.

15 sierpnia 1917 r. na zjeździe w Lozannie powołano Komitet Narodowy Polski z siedzibą w Paryżu. Prezesem Komitetu został Roman Dmowski. W skład Komitetu wszedł między innymi Ignacy Paderewski, reprezentujący polskie interesy w Ameryce.

Komitet, który postawił sobie za zadanie

reprezentację interesów polskich wobec zachodu, kierowanie powstającą we Francji armią polską oraz opiekę nad Polakami znajdującymi się w państwach zachodnich, został w okresie od września do grudnia 1917 r. uznany jako oficjalna polska organizacja kolejno przez Francję, Anglię, Włochy i Stany Zjednoczone. Do Rosji o uznanie Dmowski się nie zwracał, nie wierząc w trwałość Rządu Tymczasowego. Rewolucja w październiku 1917 r. zakończyła ostatecznie prorosyjską orientację Dmowskiego, który odtąd całkowicie związał się z państwami zachodnimi.

Pisał w swej pracy o Dmowskim Andrzej Micewski, że „...Dmowski nie potrafił jednak ukomponować rewolucji w swój schemat geopolityczny...” Znacząc poglądy Dmowskiego sądzić należy, że raczej nie chciał. Stosunek Dmowskiego do rewolucji był zresztą bardzo

złożony. Z jednej strony stwierdzał, że rewolucja w Austrii, na którą liczył, osłabi potęgę zaborczego mocarstwa, z drugiej strony obawiał się wpływu rewolucji ze wschodu i zachodu na polskie społeczeństwo.

Tymczasem orientacja Dmowskiego na państwa zachodnie zaczęła napotykać na poważne trudności. Zaczęło się od odbytej w czerwcu 1917 r. konferencji międzysojuszniczej, do której na skutek sprzeciwu Anglii, nie dopuszczono Komitetu Narodowego Polskiego. Dyplomacja angielska torpedowała projekty uchwał dotyczące granic przyszłego państwa polskiego, bowiem jej zdaniem proponowane przez Komitet Narodowy Polski zachodnie granice Polski osłabiłyby powojenne Niemcy, a tym samym spowodowałyby wzrost roli Francji.

Na pewno na wyciszenie różnic w kwestii polskiej między Anglią a Francją miał niewątpliwie wpływ 14-punktowy program prezydenta Wilsona z 8 stycznia 1918 r., który w 13 punktach stwierdzał, że „...Powinno być ustanowione niepodległe państwo polskie, które winno obejmować ziemie zamieszkałe przez bezspornie polską ludność, mieć zapewniony wolny i bezpieczny dostęp do morza, a którego niezawisłość polityczna i gospodarcza oraz całość terytorialna winna być zagwarantowana paktem międzynarodowym...”

Stanowisko Wilsona ułatwiło dalszą działal-

ność Dmowskiemu i innym działaczom Komitetu Narodowego Polskiego, wpłynęło także na większą jednolitość poglądów krajów Ententy na sprawę polską. 3 czerwca 1918 r. na konferencji międzysojuszniczej w Wersalu, w deklaracji ogłoszonej przez Francję, Anglię i Włochy stwierdzono, że „...Utworzenie Polski zjednoczonej i niepodległej, z dostępem do morza, stanowi jeden z warunków pokoju trwałego i sprawiedliwego oraz przywrócenia panowania prawa w Europie...”

Dmowski docenił znaczenie amerykańskiego stanowiska dla sprawy polskiej. W połowie 1918 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych, odbył szereg rozmów z prezydentem Wilsonem, przedstawił mu opracowaną przez Komitet Narodowy Polski propozycję dotyczącą terytorium państwa polskiego.

Jesień 1918 r. miała dla sprawy polskiej przełomowe znaczenie. Nastąpiła radykalizacja mas ludowych, uaktywniły się także ugrupowania niepodległościowe polskich klas posiadających. Na czele tworzącego się państwa stanął Józef Piłsudski — człowiek zaangażowany w pierwszym okresie wojny przeciw aliantom, polityczny przeciwnik Dmowskiego.

Roman Dmowski starał się mieć wpływ na to, co wówczas działo się w kraju i bezskutecznie zabiegał o przewiezienie do Polski armii polskiej sformowanej we Francji, co napotkało jednak na sprzeciw ze strony Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Pozostała więc jedna tylko możliwość — kontaktów politycznych z powstałym na ziemi polskiej ośrodkiem władzy państwowej. Stanisław Grabski, a następnie Ignacy Paderewski, jako wysłannicy Komitetu Narodowego Polskiego udali się do Warszawy. Następnie do Paryża przybyła delegacja przywożąc list Naczelnika Państwa do Romana Dmowskiego. W wyniku zawartego porozumienia Komitet Narodowy Polski i rząd w Warszawie uznały się wzajemnie, Paderewski wrócił do kraju i stanął na czele rządu i wreszcie Paderewski i Dmowski zostali przez Naczelnika Państwa mianowani delegatami Polski na konferencję pokojową. Rozpoczął się od stycznia do listopada 1919 r. kolejny ważny okres w politycznej działalności Romana Dmowskiego.

Pierwsze znaczące zaprezentowanie się Dmowskiego na konferencji pokojowej miało miejsce 29 stycznia 1919 r., kiedy to zaproszony na posiedzenie Rady Najwyższej przedstawił sytuację w Polsce i sprawę granic państwa polskiego. W wyniku jego zabiegów powołano dwie komisje alianckie, dla których Dmowski zaczął przygotowywać materiały, ale znowu porzyżowało mu plany nieprzyjazne Polsce stanowisko Anglii. Lloyd George najpierw doprowadził do wprowadzenia do projektu traktatu pokojowego, Wolnego Miasta Gdańska, plebiscytu w okręgu kwidzińskim, a następnie na Górnym Śląsku.

Dmowski niechęć Anglików do sprawy polskiej przypisywał wpływom żydowskiej finansjery, nie zainteresowanej osłabianiem Niemiec. Nie wykluczając i tego czynnika, choć na pewno nie był on decydujący, sądzić można, że osoba Dmowskiego — zdeklarowanego antysemitę nie była w pewnych, wpływowych kręgach na zachodzie mile widziana, a stąd mogła się także brać rezerwa czy nawet niechęć do przedstawianych przez niego koncepcji.

Polityczni przeciwnicy Dmowskiego próbowali umniejszać jego rolę na konferencji pokojowej, że w wielu przypadkach decyzje zapadały odmiennie od stanowiska prezentowanego przez polską delegację. Jest to argumentacja wątpliwa, jeżeli weźmie się pod uwagę sytuację międzynarodową, w jakiej przyszło działać Dmowskiemu. Wystarczy tu przytoczyć słowa wypowiedziane pod adresem Polski na posiedzeniu Rady Najwyższej w dniu 2 czerwca 1919 roku przez wspomnianego już Lloyd George'a. Powiedział on między innymi: „...Wolność wasza okupiona została krwią innych narodów i naprawdę, jeżeli Polska zbuntuje się przeciwko naszym decyzjom, da dowód, że jest czymś innym niż myśmy przyjmowali...”

W takich warunkach Roman Dmowski dał się poznać na konferencji jako wybitny polityk, konsekwentnie reprezentujący polskie interesy wobec państw zachodu.

Popełniał i błędy. Jego nacjonalizm, prezentowany szczególnie w kwestiach wschodnich granic państwa, dawał atuty do ręki nieprzyjaznym sprawie polskiej politykom. Wykorzystał to Lloyd George mówiąc o kilku milionach ludności niepolskiej, która w myśl koncepcji Dmowskiego miałaby się znaleźć w granicach państwa polskiego. Kiedy 29 czerwca 1919 r. podpisano w Wersalu dokument, w wyniku którego Polska otrzymała ziemie zaboru pruskiego i dostęp do morza, stanowiło to niewątpliwie sukces zabiegów dyplomatycznych Romana Dmowskiego.

Intensywna działalność polityczna w czasie konferencji nadszarpnęła poważnie jego zdrowie. W listopadzie 1919 r. zachorował na zapalenie płuc i na skutek zaleceń lekarzy okres rekonwalescencji spędził w Algierze. Do Paryża powrócił 18 kwietnia 1920 r., a już 12 maja wyruszył w podróż do Warszawy. Człowiek, który tak wielkie zasłużył dla sprawy polskiej później wrócił do kraju jako konkurent z prawicą wobec tych którzy z odmiennych startów iac pozycji stanęli na czele Odrodzonego Państwa Polskiego.



Rozbrojenie żołnierza niemieckiego w Warszawie

Pisząc wszelkie wstępy do swej poezji zawsze myślę: coż może dodać do tego, co już powiedziałem w wierszach? Dreczy mnie obawa, że utwory nie są udane, skoro nie można ich drukować bez komentarza, a jeszcze gorzej by było, gdyby komentarz był ciekawszy niż same wiersze.

I mimo to zdarza się, że nie można odmówić czytelnikom słowa wprowadzającego, tak jak nie sposób uniknąć słowa powitania, gdy wchodzi się do domu sąsiada i przyjaciela. I podobnie jest z przekazaniem mojego zbioru wierszy przyjaciołom Polakom w ich języku ojczystym. Przyjaciołom, z którymi złączyły mnie wspólne losy, lata walki, drogi frontowe, prace, nadzieje, dążenia.

Madrość ludowa głosi, że nieszczęścia chodzą parami. I ja też tego doznałem. Na początku lat trzydziestych za udział w ruchu rewolucyjnym zostałem aresztowany. Po wyjściu z więzienia ukrywałem się, kontynuując działalność konspiracyjną. Byłem ścigany listami gończymi, a w tym czasie zacząłem pisać wiersze. One to właśnie stały się przyczyną moich dodatkowych nieszczęść. Zrodziły się twórcze niepokoje, skomplikowało się moje życie, a wymowa mej poezji była przyczyną nowych prześladowań, znowu mnie kilkakrotnie aresztowano po skonfiskowaniu poszczególnych utworów, także zbiorów: „Na etapach” i „Naroc”.

Widocznie tylko dzięki ehlopijskiemu uporowi, przejętemu w spuściznie po rodzicach, którzy nie bacząc na różne żywiołowe i społeczne klęski oraz kary boże do końca życia nie wypuszczali z rak sochy i pluga — ja także nie wyzlekłem się swych dążeń.

Co prawda, była jeszcze jedna przyczyna: pragnieniem moim było ukazać życie i walkę o lepszą przyszłość mojego narodu, o czym niewiele wówczas pisano w literaturze zachodniobiałoruskiej. Zresztą i to, co zostało powiedziane, padało ofiarą działalności sanacyjnej cenzury, która, jak wiadomo, niewyczyła żadną myśl postępową lub rewolucyjną — nie oszczędzając i klasyków polskich, gdy ich dzieła zawierały treści dotyczące społecznych i narodowych problemów, wciąż żywych w ówczesnej rzeczywistości.

Moje lata młodzieńcze, a także pierwsze moje próby poetyckie związane były z Wilnem — miastem o bogatych tradycjach historycznych, kulturalnych i rewolucyjnych, wspólnych Polakom, Litwinom i Białorusinom. Tam właśnie w legalnej i nielegalnej prasie komunistycznej zacząłem publikować pierwsze swoje utwory. W Wilnie nawiązałem przyjaźń z wieloma polskimi i litewskimi pisarzami. Zacieśniła je nasza współpraca z polskimi czasopismami frontu ludowego: „Po prostu”, „Karta”, z białoruskimi: „Nasza wola”, „Bielaruskij Letapis”, „Kaldosie”, z litewskimi: „Vingis”, „Seja”, „Venkartinis” i innymi.

Dużą rolę w konsolidacji postępowych i antyfaszystowskich sił odegrało „Po prostu” (1935—1936), pismo związane z KPP. Skupiło ono lewicową młodzież akademicką, do zespołu należeli m.in.: Henryk Dembiński, Stefan Jedrychowski, Jerzy Putrament, Jerzy Orda, Maria i Irena Dziewickie, Jan Druto.

„Po prostu” często drukowało utwory Jana Huszczy, Ana-

Do moich polskich przyjaciół

toła Mikułki, Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, Teodora Bujnickiego, a w dodatku specjalnym — „Kolumna Białoruska” — wiersze Michasia Wasilka, Michasia Maszary i moje.

Współpraca z „Po prostu”, a także kontrakt z twórczością Władysława Broniewskiego, Leona Kruczkowskiego, Edwarda Szymańskiego, Wandy Wasilewskiej oraz z literaturą radziecką w znacznym stopniu ułatwiły mi znalezienie własnej drogi.

Zbliżenie z polskimi literatami? Zawdzięczam polskiemu środowisku wileńskiemu. W „Kartkach z kalendarza” zachowały się moje notatki z tych lat, oto niektóre z nich: 1937—27/X. W ostatnich dniach przeczytałem tyle różnych literackich manifestów i programów, że zrobiło mi się w ustach cierpko. W opracowanym przez Putramenta zbioru „Droga leśna” znalazłem wydrukowany swój wiersz „Na szlaku dzikich gęsi”. To pierwszy mój wiersz przetłumaczony na polską mowę. Był zamieszczony w „Kurierze Wileńskim”, otrzymałem wtedy od swego tłumacza pierwsze w życiu honorarium — trzy złote... Przyznam się, że nigdy nie pomyślałem, że wiersze mogą mieć jakąkolwiek wartość mierzona pieniędzmi... Wiedziałem, że za wiersze mogą sądzić, karać więzieniem, ale żeby za nie płacić!

1939 — 3/VII. Kiedy szedłem na wieczerz autorów do Związku Literatów Polskich, muszę przyznać, ogarnęła mnie trema, gdyż nie wiedziałem, kogo tam spotkam (...). Zaczęłam retytować wiersze przetłumaczone przez Jaworskiego i Putramenta, a potem czytałam w mojej mowie ojczystej. Nie wiem, czy moi słuchacze rozumieli, co czytałem po białorusku. Bo ktoś w przerwie zapytał mnie: — co to takiego „nie warto tużyć”? Gdy zacząłem wyjaśniać, Melchior Wańkowicz, który urodził się na Białorusi i dobrze znał nasz język, dodał żartobliwie: — Kolega prawidłowo zrozumiał — „nie warto tużyć, jak nie warto tutaj żyć” (...). Byłem wdzięczny Wańkowiczowi.

Chciałbym tutaj wymienić nieodżałowanej pamięci Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, który na łamach swej „Kamery” często drukował moje wiersze w przekładach własnych, a także w tłumaczeniu Kamila Jerzego Wientrauba, którego poznałem na tym wieczerze autorskim odbytym w Warszawie, w Związku Literatów Polskich.

Wojna zniewyczyła zamiar wydania zbioru przekładów moich wierszy, przygotowanego przez K. A. Jaworskiego dla Małej Biblioteki „Kamery”, a także moich bajek przełożonych przez Wientrauba.

Moja przyjaźń z literaturą polską łączy niejedną dziesiątkę lat. Już w gimnazjum próbowałem tłumaczyć na język białoruski Mickiewicza, Sło-

wackiego, natomiast w okresie powojennym udostępniłem białoruskiemu czytelnikowi poezję polską, szczególnie współczesną, tak ciekawą i bogatą w poszukiwania i osiągnięcia — stało się dla mnie taka sama koniecznością jak twórczość własna.

Umacnianiu przyjaźni sprzyjała również nasilająca się z każdym rokiem przyjacielskie i twórcze kontakty, częste moje wizyty w braterskim kraju — Polsce, które inspirują powstawanie nowych wierszy i nowych przekładów.

Pewnego razu na Krakowskim Przedmieściu kupiłem zbiorek Weintrauba, w którym niespodziewanie znalazłem wiersz napisany w okresie wojny, a poświęcony mnie. Poeta wierzył, że:

Kiedyś spotkamy się jeszcze. Spłecionych dłoni pieśnią Szumem traktorów i sosen powita mnie Białorus.

(Do Maksyma Tanka albo list zimowy o białoruskiej jesieni 1941).

Niestety, nie danym nam było się spotkać. Poeta ten, jak i wielu innych, nie doczekał dnia wyzwolenia swej ojczyzny spod okupacji hitlerowskiej.

Cześć pragnąc mu oddać, Piszę jednak, jak umiem, Do twych pól, gdzie nad Wisłą wiatr szumi, Do spędzonych z tobą godzin, mój bracie, Parków, ulic warszawskich, przyjaciół, Do twych pieśni i cegieł ścian, Co od kul cię zasłaniały, od ran. Słę list z zorzą, która świeci biel, Do ojczyzny twojej, co wstała z popielisk...

Pragnę powiedzieć, że poszczęściło się mojej poezji — trafiła ona nie raz do rąk polskich czytelników. W latach trzydziestych i w okresie powojennym sporadycznie drukowane były przekłady poszczególnych moich wierszy. W 1951 r. ukazała się moja „Bajka o muzyce” w przekładzie Ziemowita Fedackiego, J. Mieszkowskiego i Tadeusza Monigirda, a w 1965 r. pod redakcją Bogdana Zyranika wyszedł tom Wryków pt. „Na szlaku dzikich gęsi”, wreszcie w 1974 r. najobszerniejsza edycja — „Wiersze wybrane” w opracowaniu i ze wstępem Igora Sikiryckiego.

Ostatnio przyjaznym wyrazem stał się wybór, przygotowany przez mego dawnego druha, Jerzego Pleśniarowicza. Szczególną radością dla mnie jest to, że ukazał się on w serii „Biblioteka Poetów”, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, serii tak zasłużonej na polu upowszechniania twórczości poetyckiej wśród szerokich kręgów czytelniczych.

Za wszystko to jestem ogromnie wdzięczny polskim przyjaciołom, a przede wszystkim zaś za to, że wiernie przekazali zawarte w moich wierszach treści, zachowując kształt formalny, tak że zabrzmiły one w mowie polskiej nutą mojej białoruskiej pieśni. I może to jest najważniejsze.

Chciałbym wierzyć, że garstka tych wierszy gościnnie przyjęta będzie przez moich polskich przyjaciół, przynosząc ze sobą braterskie pozdrowienie.

MAKSIM TANK

Mińsk, 5 czerwca 1976 r.

(tłum. **ALEKSANDER BARSZCZEWSKI**)

Wybitny poeta, laureat wielu poważnych nagród literackich, jest także działaczem społecznym i politycznym. Wielkie zasługi położył on na polu utrwalania przyjaźni łączącej nasze narody. Za tę działalność, ze szczególnym uwzględnieniem twórczości przekładowej, odznaczony został Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Urodził się 17 września 1912 roku, we wsi Pilka-Uszczyzna w powiecie Mołodeczno. Kilka tygodni temu ukończył 70 lat. Jubilatowi, który wraz z delegacją pisarzy białoruskich przybywa do Łodzi, życzymy długich lat życia w zdrowiu i pomyślności oraz dalszych sukcesów w pracy literackiej.

Maksim Tank

Ave Maryja

Dzwon katedralny wzywa na Ave.
Z ciasnych zaułków z lewa i z prawa
Cisną się mniszki w czarnych habitach,
Ciągła żalobnym oieniem okryte.
Stara i młoda twarz mnie omija —
Ave, Maryja...

Może bym odszedł stąd jak najciszej,
Gdybym nie ujrzał pośród tych mniszek
Jednej, co miała chyba nie więcej,
Niż siedemnaście wiosen dziewięcioletniej;
Twarz czarnookiej smutek spowija —
Ave, Maryja...

Pod jej surową żalobną szatą
Kibic wysmukła odgadnąć łatwo,
Nóżki, co mogłyby w karnawale
Olsnąć i podbić niejedną salę.
Pierś jej wysoka i śnieżna szyja —
Ave, Maryja...

Patrzy nabożnie na krzyż ofiarny,
A ja się modlę do brwi jej czarnych:
Czyż nie żal tobie — szepece te słowa —
Życia, urody takiej marnować?
Tańcem byś mogła serca podbijać —
Ave, Maryja...

Pewnie truciznę wypić ci dali,
Ręce różańcem ciasno spętali.
Zerwij te więzy, nie bój się, śmiało!
Mogłabyś sierpem pył z kłosów wzbijać —
Ave, Maryja...

Bychło by miłość przyszła do ciebie,
Świt brną witala z łubnym na niebie,
A potem wkrótce, tak jak u wszystkich!
Dziecię kwilące w ciepłym kołtunku
Smukłe twoje ręce były przewijając —
Ave, Maryja...

Był może, szepcząc swoją modlitwę,
Mógłbym zwyciężyć, wygrać tę bitwę.
Lecz ja wezwano; z ciężkim westchnieniem
Mniszka odeszła pod to sklepienie,
Gdzie w mrocznej celi życie jej mija —
Ave, Maryja!

Przełożył:
IGOR SIKIRYCKI

Początek Ody

Z naręczy kwiatów modrych, białych
Pleść wianki łatwo i wygodnie —
Wystarczy na to trochę sprytu
I bez odcisków gładkie dłonie...
I miękki kark — by zgiał się lekko.
I pletwy — abyś płynął z modą...
A wtedy nawet żabi skrzekot
Okrzyczą najwspanialszą odą.
Jeśliś nie czytał ust driady,
Kłamiwej szminki ich szkarłatów,
Skrzykną się wyjać, ścierwojady,
Że wiersz bez treści i warsztatu.
Karku nie nagniesz — stokroć gorzej!
Król wieprzy, tuż obfitych zysków,
Wnet anatamą cię obłożę,
Postawi krzyżyk na nazwisku...
Wtedy cię zgnoi czarłotów zgraja,

W żelaza straci lub pod schody!
Oni to końcem nazywają,
Lecz dla mnie — to początek ody.

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI



Jam tylko drobną cząstkę
Zdołał wyśpiewać
Tego, co opowiedziały mi
Wiatry,
Drogi,
Głazy i rzeki,
Lasy i gwiazdy.
Jam tylko drobną cząstkę
Zdołał przekazać
Tego, co mówiły mi oczy,
Usta,
Ręce,
Ludzie, z którymi szedłem przez życie,

Dłatego pod moimi pieśniami,
Na pierwszym miejscu,
Położcie ich podpisy.
6.X.1968

Przełożył:
IGOR SIKIRYCKI

Ojczyzna

Zanim wymówię imię twe, Ojczyzno,
Jak Dżangarowie przed zacementem pieśni,
Usta swe płuczę wodą wprost ze źródła
Jak siewca, z płachta ziarna przed zasiewem,
Kłaniam się polom, obłokom i słońcu,
I jak wojownik przed niepewnym losem,
Przywdziwiam czystą, odświętną koszulę...
19.VII.1969

Przełożył:
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

W domu Jakuba Kolasa

Znow ostrożnie po cichych schodkach
Wchodzę w dom. Na wieszaku — kożuch,
Nieczym zbiór przysłów i pogwarek.
Wełnięte w kącie walonki stoją,
Przypominają dawne drogi
I żalę się na swą bezczynność.
Telefon nieczym szpak czernieje
Na roli bezładnego stołu,
Gdzie się schroniły pierwsze skiby
Ostatnio pisanego listu...
Przerwany tekst w połowie zdania,
Bo śmierć nadeszła niespodzianie.
Wezwala go Odłożył pióro,
Co jak tallzman czarnoksiężki
Chroniło go przed władzą śmierci...
Wszystko tak na le... Złożył pióro.
Nawet i dzieci nie zdążyły
Ostrzec go. Nie od razu zgady,

Rys. Janusz Szymański-Glanc



Kim jest ta, która się pojawia
Za każdym razem z inną twarzą,
Z uśmiechem pełnym tajemnicy.
Mogła przedzierzgać się w sąsiadkę,
W interesantkę nieznaną,
W troskliwą siostrę miłosierdzia,
W początkującą poetesę
Oczekującą pochwał Zeusa.

Przyszła... Czemuż odłożył pióro?

Przełożył:
MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

Kiedyś...

Kiedyś zegarki
Nie śpieszyły się tak jak obecnie.
A każdy rok miał
O wiele więcej miesięcy
I dni świątecznych.
Schody w naszym domu
Miały znacznie mniej stopni,
Wszystkie drogi były krótsze,
Wiosny — zieleńsze,
A zimy — bielsze.

Opowiadałem o tym wnukom,
A te wistysy śmieją się,
Nie wierzą!

Przełożył:
JAN HUSZCZA

Antoni Hraczanikaŭ



Bezpieczne w płytkiej zatoczce pływanie
Brzydnie wyrostkom. Ich ciągnie głębina.
Tam lek cudowny serce lodem ścina.
Gdzie wir i ciemna szczupaczka otchłanie.

Kogo w swe tajnie zwabi otchłań śina
(Tak było ze mną w lat molch zaranie),
Poniekąd obcy kolegom się stanie,
Gdyż lek — ich wspólny — stracił w rozpadli-
nach.

Dopiero kiedy zbrodziwszy szuwarę
Ktoś inny z lękiem weźmie się za bary
I głab zmurtuje, i wróci pomyślnie,

Ów pierwszy pojmie, że gdy wiry mijają,
Nie tylko siebie narażał, lecz przyjaźń...
Śładzie osobno. Łza w oku mu błysnie.

Przełożył:
TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI



Jest ta polana w tamtej dali,
Gdzieśmy się z tobą spotykali.

I ciemny las, i rzeczka w cieniu
Ożyły dzisiaj we wspomnieniu.

Nie szukaj mnie tam, bo majowy
Przeminał czas ów czeremchowy.

Wiem — jeśli przyjdę na polanę,
To ciebie także nie zastanę.

Lecz gdy się kiedyś zobaczymy,
To sobie naraz przypomnimy,

Że jest polana w tamtej dali,
Gdzieśmy się z tobą spotykali.

Przełożył:
JAN HUSZCZA

Mickiewicz — Kołas i jego epopeja

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

Z udrękami pracy przekładowej rzecz się ma jak — podobno — z porodem: po narodzinach przekładu nie pamięta się o udręce. Może więc zamiast zwierzeń, jak tłumaczyło mi się wiersze i poemat Jakuba Kołosa, stwierdzenie cokolwiek ogólniejsze. Poetów białoruskich, zwłaszcza klasyków (podobnie jak ukraińskich), przekłada się na polski stosunkowo łatwo (zapewne rzecz ma się i odwrotnie). Sprawa to: bliskie sąsiedztwo, przemieszanie grup narodowościowych, związki rodzinne, zjawiska kresowości i w ogóle konsekwencje długotrwałego życia w tych samych organizmach państwowych. Wszystko to, a dodajmy jeszcze fakcie naturalna, jak podobieństwo wynika z warunków bytowania na tych samych bądź pobliskich terenach, podobieństwa zjawisk kulturowych i wyposażenia cywilizacyjnego — sprawiło, że między naszymi językami istnieje coś znacznie więcej niż podobieństwo z racji słowiańskiego rodowodu. Możemy bowiem mówić i o tożsamości wielu setek wyrazów i określeń, i o podobieństwach idiomów, mnóstwa przysłów itp. Zdarzyło mi się kilkakrotnie, że gdy znaczenia któreś z niejasnych dla mnie słów nie umiał mi podać ani wielki jednotomowy słownik białorusko-rosyjski, ani „Tłumaczalny słownik białoruskiej mowy”, sięgałem do „Słownika języka polskiego” z 1900 r. Karłowicza i Niedźwiedzkiego... I cóż, znajdowałem tam poszukiwany wyraz, tyle że z adnotacją w nawiasie: kresowy. Tu miło mi do-rzucił, że kiedy wszystkie słowniki w czambuł zawiodły, zwracałem się o pomoc do zawsze niezawodnego w tych materiałach Janki Bryła. Dodajmy, że i my, i Białorusini, mamy „podobne ucho”, to znaczy — wrażliwość na organizację melodyczno-wersyfikacyjną wierszy, a zatem i zbliżone ulubione formy wersyfikacyjne. A przecież te rzeczy wyglądają bardzo różnie u różnych narodów. Dla przykładu: Niemcy gotowi są zgrzytać zębami słysząc polski ulubiony 13-zgłoskowiec, wielbią za to zaadaptowany do swych wymogów językowych heksametr, Francuzi chętnie używają obojętnego dla nas i dla Białorusinów aleksandrynu.

A więc może nie o trudnościach translacji, lecz o samym Kołasie poecie. Będzie to rzecz o urzeczaniu. Z tym, że dla tłumacza większej ilości utworów danego poety nie jest to ślepe romantyczne urzeczanie od pierwszego wejścia. Jest ono wynikiem długotrwałego obcowania, synonimem życia się. Wszak tłumacz żywa się z autorem w stopniu nierównie silniejszym niż nawet zafascynowany czytelnik. On przecież z samej natury rzeczy nie może sobie pozwolić na czytanie tu i ówdzie nieuważne, na chwilę dekoncentracji. Musi z jednakową uwagą zatrzymywać się nad każdym miejscem tekstu. W epice widzieć wszystko niemal tak dokładnie, jakby przebywał razem z autorem w miejscu rozgrywania się danego epizodu akcji. W liryce winien pojąć najlepsze drgnienie duszy autora — przynajmniej w tym stopniu, jaki jest udziałem jego samoświadomości, (znamienne są w tej mierze różnorakie efekty wysiłków wielu najznakomitszych polskich tłumaczy nad oddaniem amorficznego zwiądu alkoholowego, którego doznaje bohater liryczny „Nieznajomej” Aleksandra Błoka).

Jakub Kołas ustępuje — to należy w tym miejscu powiedzieć — Jance Kupale jako liryk: w zdolnościach kreacyjnych, w pomysłowości przy budowaniu sytuacji lirycznych, wreszcie w poszukiwaniach językowych i słowotwórczych (Kupała przecież, jak u nas Leśmian, w wielu wierszach, np. „W wiecznym borze”, „Czarny bóg”, „Chochlik”, „Weselnicy” wykorzystuje i przetwarza wyrazy prastare, nieraz z kręgu pramagii ludowej, które gdzieś tam uchowały się w kraju za siódmą górą i siódmą rzeką). Owo powiedziane wyżej „ustępuje” wcale nie oznacza, że Kołas jest poetą gorszym, a tylko że posiada innego typu wyobraźnię twórczą. Dobrzy poeci nie mogą być do siebie podobni. Wynika to z samej natury rzeczy. Muszą być niepowtarzalni, a więc różnić się. I mocno. Kołas, niezwykłej miary plastyk, posiada wyobraźnię twórczą, że użyje terminu znakomitego naszego poety i teoretyka „oetzi, nieodżałowanego Stanisława Czernika — autentyczną. Przywołałem tutaj to określenie dla przybliżenia odczucia czytelnika tych uwag właśnie specyfiki

wyobraźni twórczej Kołosa. Nie przekreśla ona, rzecz jasna, szans osiągnięcia sukcesów w liryce, jak nie przekreśla u Czernika, Piętaka, Ożoga. W dwóch pierwszych tomach „Zboru tworau” Kołosa, zawierających lirykę, znajdujemy wiele wierszy doprawdy znakomych (mam na myśli lirykę rzeczywistą, nie zaś wierszowaną publicystykę polityczną). I — szczególna rzecz, bo za-zwyczaj bywa wręcz odwrotnie — najwięcej tych znakomych wierszy osobistych przypada na lata późne, lata zaostrej samoświadomości, ogarniania życia z dużej już, co nie jest dla egzystencji ludzkiej faktem radosnym, perspektyw i w nastroju ustawiania się do spotkania z Nieuniknionym. Jest to liryka osobista, o odcieciach w wieczność niepojętą ludzi najbliższych i o niepokojach i smutkach starości. Małym arcydziełem jest dla mnie „Pieśń na son u niasonije” (Pieśń przywołująca sen w noc bezsenności). Stary schorowany, samotny człowiek cierpi na bezsenność i nuci dziecięcą kołysankę. Przy mniejszej kulturze artystycznej autora wiersz wywołałby efekty całkiem nie zamierzone: śmieśności, afekcji, melodramatyczności, a tymczasem najautentyczniej wzrusza (zwłaszcza takich jak ja czytelników nie najpierwszej młodości) życiową prawdą, opanowaniem i ostrym kontrastem dramatycznym między sytuacją a powtarzanymi w charakterze leitmotywu obrazkami infantylnej dziecięcej śpiewanki.

Ten właśnie rodzaj talentu Kołosa poety-autentysty predysponuje go na epikę wielkiego formatu. Tu dotykamy m.in. przyczyn triumfu artystycznego jego trylogii poleskiej („W poleskiej głuszy”, „W głębinie Połesia” i „Na rozstajach”), wyrosłej, z czego — najwyższy chyba triumf artystyczny! — nieuprzedzony czytelnik nie zdaje sobie sprawy, prawie na całkiem białoruskich tradycji prozatorskich.

Główny utwór w dorobku całościowym Kołosa „Nowa ziemia” pisany w latach 1910—1923, którego szereg rozdziałów przełożyłem ostatnio z tłumaczkami młodszego pokolenia: Bożeną Gogolewską i Dorotą Chróscielewską-Kuźniakową, jest białoruską epopeją ludową. Po tym, cośmy mówili o autentyczności wyobraźni twórczej Kołosa, nie powinno być chyba niespodzianką, że fabuła i realia „Nowej ziemi” wysunęły zostały w bardzo wysokim stopniu w wspomnieni poety z jego dziełactwa) co nie znaczy — byłoby to sprzeczne z prawami tworzenia — że możemy poemat traktować jako dosłowny pamiętnik rodzinny).

W „Nowej ziemi” zatriumfował właśnie niezwykły dar przyoblekania przeżytego w literaturę. Doszła tu jeszcze właściwość arcyzadka — ale bez niej niemożliwa jest epika w prawdziwym tego słowa znaczeniu — umiejętność konsekwentnego i naturalnego, bez jakiegokolwiek sztuczności, łączenia dystansu autorskiego wobec wydarzeń i postaci z ciepłem i sympatią (sympatią — zaznaczam — wybitną czułościowością). Jest też Kołas w tym poemacie, podobnie jak jego wielki imiennik (nazwisko metrykalne Kołosa brzmi, jak wiadomo, Konstanty Mickiewicz) mistrzem w plastycznym przedstawianiu zarówno loci actionis, jak biegu wydarzeń i może przede wszystkim — kreślenia postaci — nieschematycznych, pełnych życia, animuszu, barwności, rubasznosci i zarazem bogactwa wewnętrznego. Dodajmy też — bo niewiele pisarzy to umie — że obdarza wyrazistymi cechami nie tylko postacie główne, lecz i niemal wszystkie epizodyczne. Oraz że swobodnie operuje scenami zbiorowymi. Podobnie jak twórca „Pana Tadeusza” w „Radzie”, „Kłótni”, „Dyplomacie i łowach”, nie gubi z pola widzenia ani na chwilę żadnej z wprowadzonych postaci. Warto również stwierdzić, że przybliżając nam swych bohaterów, stosuje wyłącznie charakterystykę pośrednią, tzn. powoduje ujawnienie się tej czy innej cechy danej postaci w trakcie działania, nie zaś drogą odgórnej dekretacji w słowie odautorskim. Niebagatelna rola, w białoruskim arcyepoemacie odgrywa też kapitalny, ślicie Mickiewiczowski humor, dowcip, komizm sytuacji i charakterów (np. postać jowialnego poczciwca abnegata Hadyki, powtarzającego wciąż w najbardziej nieoczekiwanych kontekstach, niczym poczciwe szarapki z „Pana Tadeusza”, ryzykowne powiedzisko: „Niech żrą

was muchy z komarami”, albo pocieszenie przy-gody wuja Antosia podczas całobobowej podróży pociągami na gapę do „olbrzymiego miasta Wilna”). Rzecz szczególna, że śmieszności tych ludzi czy groteskowe sytuacje, w jakich się znaleźli, nie ośmieszają ich, tj. nie kompromitują w najmniejszym stopniu w naszych oczach, przeciwnie, przybliżają, a wraz z nimi czasy najcenniejsze, w których toczy się akcja.

Wreszcie Kołas — właśnie jak wielcy epicy — jest mistrzem w oddawaniu klimatu czasu zapamiętanego, szczegółów zastanej obyczajowości, specyfiki kultury materialnej i duchowej przedstawianego środowiska. Stąd i nieocenione wartości poznawczo-dokumentarne „Nowej ziemi” — równie ważne dla historii kultury ludowej tych ziem, jak dla historii kultury szlacheckiej. „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III” księcia Kitowicza czy też „Pan Tadeusz. Historia szlachecka w dwunastu księgach wierszem”. Nieocenione! W każdym bowiem z podobnych wypadków rychło po napisaniu czy nawet w trakcie pisania zegar dziejów, dotąd nader niemrawo wiokący swój perpendykuł, zaczynał spieszyc się gwałtownie i powoływał do życia nową formację ekonomiczno-kulturową, która niszczyła starą. I tu właśnie następuje się osobliwa uwaga. Zazwyczaj dokonują takiego kronikarsko-sentymentalnego remanentu twórcy związani uczuciowo z epoką odchodzącą. Jakże często stwierdzają przy tym z melancholią: Homer — Diomed ciskał tak „ogromny kamień, który dziś dwóch ludzi, choć z największą mocą, niżeli z miejsca ruszą, dobrze się napocą”, autor zaś „Pana Tadeusza” raz po raz zauważa w nastroju trzenniczym: „ostatni zajazd na Litwie”, „ostatni, co tak poloneza woz-dz”, „ostatni na Litwie woźny trybunału”. Tymczasem autor „Nowej ziemi” buduje jambicznym dziewięciogłoskowcem swój poetycki skansen nie tylko jako człowiek młody — w trakcie pisania pierwszych rozdziałów znajdujący się niemal u początków swej drogi życiowej — lecz i działacz polityczny, ideolog radykalnego przyspieszenia, które w wyniku przestawi życie w jego stronach rodzinnych na całkiem inną jakość. Wydawałoby się zatem, że właśnie ten człowiek powinien być daleki od odczuwania uroków życia wiejskiego, oparteo o gospodarkę naturalną i do tego w czasach, gdy zasiadł do pisania (1910) wcale jeszcze tak bardzo tam pod Stołpcami, nie atakowanego prze. Nowe. Tak by się zdawało. A jednak? Jak szczęśliwie złożona i bogata jest dusza poetów! Odwołuje się tu chętnie do „Pana Tadeusza” jako do ogólnie znanego wzorca epiki, wykazanie tej czy innej paraleli wydaje mi się pomocne w ukazywaniu epickości i zalet artystycznych poematu białoruskiego. I skoro już jesteśmy przy polskim arcy-poemacie, warto zwrócić uwagę na fakt, że „Nowa ziemia” jako epopeja ludowa doskonale uzupełnia się, powiedziałbym nakładą, z bogatą i do tego znakomitą polską literaturą o ziemiach nad błękitnym Niemnem rozciągniętych”. No i nad Prypecią. A więc z „Historią szlachecką we dwunastu księgach wierszem” (jej akcja nb. toczy się nie tak daleko od miejscowości do których przenosił duszę utęsknioną Mickiewicz-Kołas), z powieściami prozą Orzeszkowej, Weyssenhoffa czy najniesuszniej lekceważonej dziś Rodziewiczówny. Ukazują one tamte urzekające ziemie i ich ludność z okien poczciwych wpraw-dzie, nawet przepocziwych, ale dworów (wy-jatkli: „Niziny” i „Cham” Orzeszkowej), ta zaś — białoruska — z okien ubogiej zagrody, której mieszkańcy wiedzą z praktyki, co to wżycie. Powiedziałem: „uzupełnia się”. Czas dziś, gdy jak stwierdza do Polaków Kołas w epilogu do „Chwały rybaka” (poemacie, którego wartości, również pownowzwe, osłabił fakt pisania go w okresie schematyzmu — w 1947 roku) nastąpi, aby czytelnicy obu narodów w lekturze, beznamietnej utworów tych i tamtych nakładali na siebie właśnie owe uzupełniające się obrazy tej ziemi, ukazywanej z odmiennych perspektyw. I wtedy dostąpią pełnego, niejako trój-wymiarowego poznania tej ziemi, ludzi, ich dorobku i przeszłości. Przeszłości, jak każda w dziejach, posiadającej nie tylko czerni i biel, lecz bajecznie kolorową gamę innych barw.

Jeszcze wróć do początków tej wypowiedzi. Nie tak trudno jest Polakowi przekładać „Nową ziemię”. Przynajmniej takiemu, co nie całkiem jeszcze zapomniał żyjąc w mieście znacznie większym od ówczesnego Wilna, swych żywotnych związków z matką-ziemią, a i pamięta, choćby tylko przez mgłę, wieś podstrzeszną, dziś zabita przez cementowe „pudelkowce” z garażami na fiaty. Nietrudno także przekładać poecie kraju, w którym parzyscie rymowany dziewięciogłoskowcem należy również do tradycy-nnych form wersyfikacyjnych. Pisał nim przecież i Jan Czeczot, i Dunin-Marcinkiewicz, wspólni poeci obu naszych jakże bliźnich krajów.



Rys. Janusz Szymański-Glane

Golec na dachu

Państwo Marchewkowie wiedli żywot bogobojny i skromny, utrzymując się z dluhaniny na państwowych etatach. To znaczy ojciec z synem dluwali partacko, a matka rządziła jako niezależna, samorządna, samofinansująca się gospodyni, albowiem wywodziła się z rodu chłopskiego. A że z tego partactwa i z tego rządzenia profit był niewielki, bo ileż można wypić za ucziwe pensyjki, toteż mieszkali na kwaterze w takim sobie mini-mrówkowcu kołchozowym. No i wegetowali marnie, bez żadnych ambicji życiowych, aż tu nagle w sąsiedniej posesji osiedlił się obywatel taki mocno czarniawy, o nazwisku Treudupere, z akcentem paryskim. Był to osobnik w kwiecie wieku, ojciec mniej rozkwitłych, lecz nadobnych dwóch córek oraz mąż równie pięknej, dumnie milczącej żony Treuduperowej, z akcentem podlódzkim. Mąż ów ciemnowłosy pewnie uszedłby uwadze świątobliwych Marchewków, lecz nie mogła im nie wpaść w oko wspaniała willa, którą tajemniczy sąsiad wywalił z szykiem w pół roku.

Wobec powyższego w sercu wrażliwym starej Marchewkowej, autentycznie polskiej matki-chłopki, ozwał się patriotyczny niepokój. I zanim posłowie nasi jeli walcować sprawę szkodliwego pasożytnictwa, Marchewkowa przystąpiła do prywatnej akcji detektywistycznej. I wyszło jej samotnie, co zapisano niebawem w księgach, iż dumny ów sąsiad jest z wykształcenia analfabeta, zatrudniony jako rzeźbiarz w prywatnej pracowni.

— Łobudu gada, co pierś ludu wysysa! — ryknęła odkrywco, z roziskrzonym wzrokiem. A stary Marchewka:

— Oj, głupia! Po com ja cię, nieszczęsny, porywał z tych morgów?

— A z miłości do spłaty, nędzniku!

— Boże, wybaczi! — jęknął stary Marchewka. — Jeśli ja jej nie zabiję, ona swoim chamstwem wpędzi mnie do grobu...

— A ty, tępy mieszczuchu, do nędzy nas doprowadziłeś! Pasożytyw popierasz, kanaliu! Działasz na szkodę państwa!

— Jeśli myślisz szczerze o synu, spójrz w okno — odparł zjadliwie Marchewka.

Stara wystawiła za szybę rozkudłany łeb i omal nie wyleciała z trzeciego piętra, tak ją wzburzył ujrany widok.

Bo akurat na podwórzu u sąsiada zatrzymał się nowiutki mercedes w kolorze blue. Wysiadł z niego Treudupere, a za nim żona z córkami, wszystkie na wysoki połysk, w kozuszkach ślicznych, w kozczkach, obwieszane błyskotkami. I nikt więcej...

Marchewkowa otrząsnęła się z oszołomienia i zwróciła twarz ku mężowi.

— Masz rację, ojciec — rzekła z błyskiem pazerności w oczach. — Muszę zmienić moje słuszne społecznie poglądy.

I gdy tylko syn wrócił z roboty, wepchnęła mu do kieszeni butelkę soplicy, a w rękę wcisnęła wiachę goździków.

— Coś ty, matka, zgłupiała?

— Wprost przeciwnie! Właśnie mi się rozum rozjaśnił!

— A ja nic nie rozumiem...

— Nie musisz! Wal, Jasiu, do Treuduperów.

— Tak bez obiadu?

— Oni cię już nakarmią, synu. Zeń się z łóreczkami. Z którą popadnie...

Jasiu wrzeszcze skontaktował. Poszedł, postawił butelkę, kwiaty rzucił na wersalkę, po czym oświadczył, że Treudupere ma to wszystko wziąć, bo matka kazała mu się żenić z kim popadnie. I zaraz po tym oświadczeniu znalazł się na trzecim piętrze u siebie.

— Tak szybko? — zdziwiła się matka.

— Nie mówłaś, żeby wolno...

— Jak cię przyjęli?

— Gorąco. Najpierw żona gospodarza zaczęła wrzeszczeć, że za mnie nie wyjdzie...

— A gospodarz?

— Powiedział tak, że wstyd powtórzyć...

— Ale co? Mów, przy spowiedzi cię rozgrzeszę!

— Powiedział: Spierdalać, golcu, do mojego rodu nie wejdiesz!

— Ach tak? — zgrzytnęła zębem Marchewkowa. — Gospodarski rodowód śmierdzi pasożytom!

— Niestety — wtrącił ojciec. — Jasiowi najwyraźniej dano czarną polewkę.

— Skądże! — ułalił się syn. — A matka wysłała bez obiadu...

— Milcz, tępakul! I natychmiast rozejrzyj się za jakąś porządną narzeczoną. A tym krwiopicjom to ja już dam popalić!

Ale co ona mogła im zrobić? Ona mogła skoczyć krwiopiczy na warsztat. Jednakże warsztat był zarejestrowany w urzędzie, a krwiopicza zatrudniał się w nim legalnie. Wobec tego wżgardzeni Marchewkowie rzucili się na wredne podchody. To znaczy podchodzili do plotu i miotali piwoecią na podwórzu sąsiada albo wznosili różne ekstremalne okrzyki. A jak to nie odnosiło skutku, malowali nocą na płocie brzydkie symbole seksualne na szubienicy lub pisali kredą hasła anarchistyczne w rodzaju: „Precz z pacholkiem górników przodowego!” Ale obywatelowi Treudupere takie demonstracje mogły latać kole mercedesa...

Aż tu pewnej nocy wraca Jasio Marchewka od narzeczonej, z którą wieczorem odbył naukę przedmażeńską i musiał potem spowiadać się przed teściem za pomocą butelki, i widzi, że ulica toczy się podcięty jego znajomek, co też wracał z akcji antyalkoholowej u kolegów. Ten znajomek nazywał się Walek, miał kartę pomazańca umysłowego i właśnie wypuścili go na urlop. Marchewka zaciągnął Waleka do siebie, dał mu w gardło dwie sety na zamroczenie, a gdy stał się już gotów do czynu, stara Marchewkowa oznajmiła, że tuż obok mieszka jeden bogaty parszywiec, co takich jak Walek puszcza bez przerwy w kanał, a potem im wyrabia te karty umysłowe. I ani chybi, to on wpakował Waleka do białej ceeli bez klamek. Walek czknął, po czym stwierdził, że nie ma dowodów.

— Tego gada trzeba zniszczyć! — wrzasnęła Marchewkowa. — Rusz się, Walek! Masz tę kartę wariacką czy nie masz?

Walek wymamrotał, że kartę ma na użytek własny, wobec czego Marchewkowa stwierdziła, że wios mu z głowy nie spadnie. Ale gdyby nie zechciał wziąć udziału w wyprawie albo ich wydał, to go mogą brzydko urządzić.

Ojciec z synem wzięli opornego pod rękę i zawiedli w nieznanym celu na podwórzu Treudupere. Po chwili gospodarza zbudził groźny krzyk męski, któremu towarzyszyły huki i trzaski. Strwożony agresywnością mężczyzn nie śmiał wyjść z domu, a gdy żona włączyła światło w przedpokoju, zobaczył na dachu swego mercedesa dziwnego gologa. Naturysta ów był tylko w ciężkich buciorach i wybił na dachu siarczyste łobuże. Drugi, ubrany, łomotał po szybach, a trzeci, także ubrany, stał zgięty, jakby dostał haka w żołądek. Po trzech sekundach widok niezwykle wchłonęła ciemność, albowiem ktoś stłukł żarówkę, i zapadła cisza, którą przerwał zjadliwy głos babski, spływający gdzieś z wysokości:

— Jeszcze, jeszcze! Niszczyc tego zasańca! I potem cisza zapadała na dobre. Wtedy Treudupere wymknął się tylnym wyjściem na ulicę, a gdy wszedł na podwórze, nikogo nie było. Ale w tym momencie znowu ozwał się krzyk kobiety:

— Golec na dachu!

Gospodarz dojrzał na dachu szopy mężczyznę. Ale ten był w ubraniul! Przetoczył się przez plot i wbiegł do bloku. Nasz gospodarz dopadł go na schodach, dzielił w łeb, facet się wywalił i stracił przytomność. Z trzeciego piętra zbiegli stary Marchewka, aby bronić krwawiącego mężczyznę, z dołu nadciągnął Jasio, ale Treudupere roztracił ich, zaciągnął schwytanego na podwórzu, przywiązał do mercedesa i zadzwonił po milicję, która zabrała rannego do szpitala na szycie łba.

No to kto rozbijał auto, jak wszyscy byli ubrani, a na dachu tańczył golec? Kto miał pokryć straty, które po przeliczeniu z marek kapitalistycznych na socjalistyczne złote wyniosły 120 tysięcy?

Otóż Marchewkowie udali głupich, ponieważ mieli na podkładkę jeszcze głupszego. Jak weszli na podwórze to Walek zaczął wymiotować. Natomiast Jasio zrobił się na nudyste, rozwałił dach, ojciec objechał szyby i boki auta, a gdy zapłonęło światło, Jasio strząsnął żarówkę, po czym przysnął do piwnicy, gdzie szybko się ubrał, stary zaś ukrył się w mieszkaniu. A te okrzyki, dia zmylenia uwagi, wydawała z okna Marchewkowa.

I tak Walek padłby jedyną ofiarą, gdyby nie fakt, że po zszyciu rany trochę wytrzymał, coś mu zaświtało i przyszedł przeproszać Treudupere. Promille wskazywały, iż nie mógł pamiętać, co się działo w nocy. Znalaziono na podwórzu zgubione przez niego dokumenty. Uznano, że Walek nie był w stanie zrobić striptizu, bo nie zdążyłby się ubrać w kilkadziesiąt sekund, a już o tańcu na dachu mercedesa nie mogło być mowy.

Z tej historii można wysnuć różne wnioski. Ale jeden jest niewątpliwy. Zawistny człowieku! Nie szukaj pomsty za pomocą warsztat!



(PARIS MATCH)

Romuś globtroter potrafi

Roman przyjmowany był chętnie w każdym towarzystwie. Wiele podróżował, wiedział więc, gdzie co można i u kogo kupić i gdzie co można sprzedać. Umiał smacznie opowiadać.

Tego wieczoru opowiadał nam o swojej szwedzkiej przygodzie.

— Pamiętam, kiedyś robiłem w Szwecji w fabryce opakowań. No, maszyny, wiadomo, różne, różniaste, ogólnie — full automatic — blysnął dyskretnie obcymi językami. — Ja akurat pracowałem przy takiej, co cięła tekturę na różnej wielkości kawałki. Wszystkie zaprogramowane, a jak tylko guzik naciskałem i — sru, z góry spadała taka gilotyna i cięła papierzyska jak masło. Szwed, wiecie, swojej forsy pilnuje, osiem godzin "arbeitu", to jest osiem, ale czyste roboty; jak się, za przeproszeniem pań, do kibla wyjdzie, to te parę minut też odliczy. Tośmy tam, powiem

szczerze, niezbyt na swoje wychodzili.

Ale Romuś myśli, no nie? — zawiesił głos, zerkając na zasłuchane grono. — Wybierając kiedyś spod maszyny pojedzie resztki, zauważyłem jakąś dziwną „wajchę”; wykopałem, że jak ją przesuwać do oporu, to może przeciąć o wiele grubszą warstwę.

W czasie przerwy zrobiłem próbę: pieprznięto tak, że myślałem — poszły stropy, ale nie — rozcięło tę cholerną tekturę. No to wałę do swojego Olafa i mówię, że mogę pracować całą dobę na okrągło. Ten zdębiał i pyta się, kiedy będę spał. Na to ja, że mogę wcale nie kimać, a jak nie wierzy, to niech się przygląda. Podejrziwy był, we trzech, pamiętam, mi na ręce patrzyli. Ale się wziętem w garść, wypiliem ze dwa termosy kawy i tę jedną dobę przetrzymałem. Rano coś sobie poprzeliczał, zatarł ręce i powiada, że zgoda, mogę tak choćby mie-

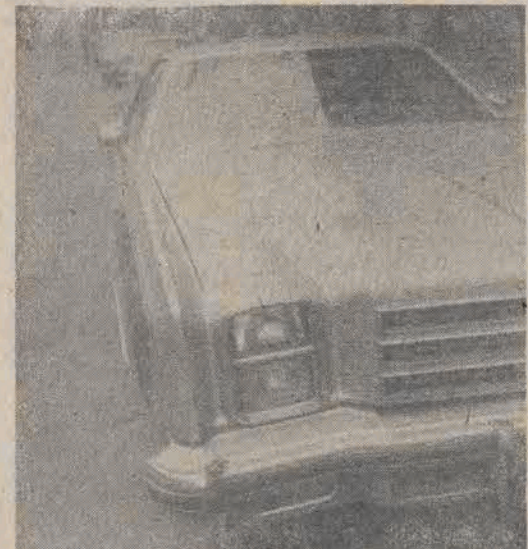
siąc zasuwać. No i zasuwałem. W dzień spokojnie, nie nerwowo, żeby się nie przemęczyć. A wieczorem, ledwie wszyscy sobie poszli, przez godzinę przyszykowałem stertę surowca, potem tą sprytną „wajchę” do oporu — jazda! Huk był taki, że wylazłem przed bramę, czy ktoś z okolicy nie przyleci. Przez dwie godzinki naciąłem cały przydział, potem nastawiłem budzik na kwadrans przed siódmą — i hop, spać w tekturowe ścinki. Rankiem Szwedy przychodzą, a ja świeży jak ogórek. Nadziwić się nie mogli!

Wpadłem głupio chyba dwa dni przed wyjazdem: budzik mi nawalił i wylazłem spod papierów już dobrze po siódmej. Ale kochani, czego to nasza eksportowa „Wyborowa” nie załatwi: rozpliśmy wtedy ostatnie moje zapasy i sprawę się załagodziło.

SERGIUSZ KUKUŁA



WYSZEDŁEM DO REDAKCJI



Czy Hongkong to Hongkong?

HENRYK SROCYŃSKI

Hongkong ma wiele twarzy. Sami Chińczycy różnie patrzą na tę wyspę: oficjalnie w prasie pekińskiej pisze się o niej jako o siedlisku zła i występku, nieoficjalnie stanowi ona chiński „okno na świat”. Brytyjczyce, w których wiadaniu znajduje się Hongkong, nie przywiązują żadnej wagi do opinii o tej enklawie — dla nich liczy się tylko jej przynależność do korony.

Ale tak Chinom, jak i Wielkiej Brytanii zależy, aby Hongkong kwitł gospodarczo. Pekin już kilka lat temu niejako wciągnął tę kolonię do bazy mającej wspomagać ogólnochiński system gospodarczy. Właśnie to „okno na świat” ma być decydującym czynnikiem w wielu projektach realizowanych po chińskiej stronie granicy.

Teng Siao-ping parokrotnie podkreślał znaczenie wyspy dla rozwoju ChRL, a zwłaszcza prowincji Kuangdong. I choć przed niedawną wizytą pani Margaret Thatcher w prasie światowej zastanawiano się jakie będą wyniki rozmów w sprawie przyszłości Hongkongu, Brytyjczycy nie mieli wątpliwości, że Pekin nie zaproponuje żadnych zmian w statusie tej kolonii. „Inwestorzy w Hongkongu mogą odsunąć od siebie wszelki niepokój” — padły słowa w Pekinie, które też jednoznacznie uspokoiły Londyn.

Hongkong, w dosłownym tłumaczeniu „pachnący port”, pachnie mazutem i chińską kuchnią. Wyspa jest właściwie jednym miastem, miastem pełnym przeciwieństw. Aż 98 proc. liczącej niespełna 5 milionów ludności stanowią Chińczycy, ale językiem urzędowym jest angielski.

W centrum znajdują się arterie przypominające nowojorski Manhattan, natomiast na peryferiach kilkadziesiąt tysięcy ludzi zamieszkuje w chatkach, które podczas każdej ulewnej spływają wraz z błotem i mazią wzdłuż zbocza górskiego. Z ulic załoczonych w sposób niewyobrażalny samochodami wystarczy zejść kilka kroków w lewo lub prawo, aby znaleźć się w ciasnych zaułkach, gdzie straszy prymityw i tandeta.

Nazwa kolonii pochodzi od wysepki posiadającej 72 km kw. powierzchni i zabudowanej do ostatniego metra. Wszystkie grunty stanowią własność „korony” czyli państwa. Opłaty dzierżawne za tereny budowlane są najwyższe — na świecie. Ale każdy, kto buduje dom lub fabrykę dostaje na piśmie zastrzeżenie, że dzierżawa kończy się 27 lipca 1997 roku, na trzy dni przed upływem brytyjskiej dzierżawy Hongkongu.

Do prosperity wyspy w dużej mierze przyczynił się tamtejszy port — jeden z najlepszych w świecie portów głębokowodnych. Na tym małym skrawku lądu leżącym u skrzyżowania ważnych dróg morskich, dokonał się szczególny mariaż chińskiej pilności i obowiązkowości z zachodnią technologią i kapitałem. Ta „mała Japonia” — jak mówi się dziś o Hongkongu — przeżywa, mimo kryzysu w świecie, prawdziwy cud gospodarczy. Zajmuje ona pierwsze miejsce pod względem eksportu tekstyliów i zapawek. Tutaj, w centrum finansowym dokonuje się wielkich operacji bankowych, przynoszących kolonii krociowe zyski. Inwestycjami w Hongkongu zainteresowane są największe koncerny światowe — tutaj władze nie ingerują bowiem w sprawy gospodarcze. Taksa dla wszystkich przedsiębiorstw jest jednakowa: wynosi 15 proc. od zysków bądź dochodów; nie stosuje się opłat celnych, pominiawszy wyroby alkoholowe i tytoniowe oraz materiały pedne.

Największy paradoks tej kolonii polega na tym, że nie posiada ona rządu i że gubernator

tor mianowany przez Londyn, sam, według własnej woli, mianuje wszystkich ministrów. Wprawdzie istnieje na wyspie lokalny parlament, ale nie posiada on żadnych uprawnień politycznych, czy też prerogatyw upoważniających go do interweniowania w sprawach gospodarczych; rola tej władzy sprowadza się z grubsza do troski o sprawy komunalne wyspy. Zresztą Pekin nie życzyby sobie żadnej formy państwowości, a tym bardziej nie tolerowałby tendencji do samodzielnienia się Hongkongu jako organizmu niezależnego od Pekinu.

Kiedy dokładnie 140 lat temu armia brytyjska zdobyła podczas wojny opiumowej skalistą wysepkę położoną na południowym wybrzeżu Chin i ogłosiła ją kolonią, w Londynie uznawano ten skrawek ziemi za całkowicie bezwartościowy dla korony. Praktycznie i dziś Wielka Brytania bezpośrednio nie czerpie zysków z tej wyspy, ale niewątpliwie stanowi ona perłę wśród relikwii z okresu kolonialnego, dodaje blasku Zjednoczonemu Królestwu.

Przed laty, pod presją opinii międzynarodowej, a zwłaszcza Komitetu d.s. Dekolonizacji ONZ, Brytyjczycy skłonni byli zrzec się Hongkongu. Wówczas jednak nastąpiła rzecz najmniej oczekiwana: Londyn i Pekin doszły do wspólnego porozumienia, w którym uznano, że Hongkong nigdy nie przestał być chiński. Wnet też Chińczycy zażądali w ONZ (w 1972 r.) by enklawę tę, jak i niewielki skrawek zajęty przez Portugalczyków — Makao, skreślono z listy obszarów kolonialnych. Wielka Brytania wyrzekła się używania w dokumentach oficjalnych w stosunku do Hongkongu słowa „kolonia”. Jest rzeczą bezsporną, że Chińczycy nie mieliby najmniejszych problemów z odzyskaniem tej enklawy. Wyścig starczyłaby — jak swego czasu pisał jeden z dzienników brytyjskich — rozmowa telefoniczna, aby Brytyjczycy musieli zwinąć manatki.

Nie sposób zrozumieć wyjątkowej sytuacji Hongkongu bez uwzględnienia roli tej enklawy w chińskiej gospodarce. Pekin potrzebuje tej kolonii brytyjskiej co najmniej tak samo, jak kolonia potrzebuje Chin. Według szacunku ekspertów kontakty gospodarcze ChRL z Hongkongiem przynoszą Chinom corocznie kilka miliardów dolarów (od 4 do 5) rocznie. Ta wyspa, znajdująca się wśród 20 największych ośrodków finansowych świata, jest drugim po Japonii odbiorcą towarów chińskich, których znaczna część jest reeksportowana przede wszystkim do tych krajów, z którymi Pekin nie utrzymuje bezpośrednich stosunków handlowych (na przykład z Tajwanem). Chiny są też najpoważniejszym dostawcą artykułów żywnościowych do Hongkongu. Taniós artykułów konsumpcyjnych produkowanych w sąsiedniej prowincji chińskiej sprawia, że koszty utrzymania w Hongkongu są bardzo niskie.

Ale nie tylko działalność handlowa interesuje Chiny w Hongkongu — Pekin zabiega również o swój udział w gospodarce Hongkongu. Od kilku więc lat działają tam, według wszelkich zasad rynku kapitalistycznego, chińskie banki, przedsiębiorstwa i różne instytucje. Wykaz udziałów Pekinu w Hongkongu zapewne nigdy nie będzie dostatecznie poznany — te sprawy otacza się bowiem tajemnicą. Na użytek wewnętrzny przedstawia się bowiem te enklawy w jak najczarniejszych barwach. Prasa chińska podjęła nawet szeroką kampanię propagandową, w której Hongkong wylania się jako miasto pełne kryminalistów, żebraków, dziewcząt lekko obyczajów, narkomanów i wyzyskiwaczy. W wielu gazetach drukuje się listy osób,

które zamieszkiwały bądź odwiedziły Hongkong. Wydzwięk wszystkich relacji jest jednokowy — obywatele ChRL jednomyślnie stwierdzają, że w Chinach Ludowych żyje się lepiej i bezpieczniej.

Ta kampania krytyki stylu życia w Hongkongu ma na celu odstraszenie tych wszystkich, którzy noszą lub mogliby nosić się z zamiarem nielegalnego opuszczenia ChRL i przedostania się do — jak to niektórzy określają — „raju na ziemi”. Kandydatów na emigrację do „kolonii brytyjskiej” jest wielu. Według statystyk hongkongskich, co roku próbuje nielegalnie przedostać się na terytorium enklawy co najmniej 100 tys. Chińczyków. Zdecydowana większość niedoszłych imigrantów przechwytywana jest przez straż graniczną Hongkongu i odsyłana z powrotem do Chin. Swego czasu po wizycie Hua Kuo-fenga w Londynie, prasa brytyjska donosiła, iż ChRL zobowiązała się przeciwdziałać temu zjawisku. W ostatnim też okresie władze chińskie, w parze z kampanią krytyki warunków życia w Hongkongu, poważnie wzmocniły straż na granicy z wyspą.

Harmonia gospodarcza jaka istnieje między Chinami i Hongkongiem, a z drugiej strony fakt, że Pekin obnaża panujący tam kapitalistyczny wyzysk, niejedną już raz był powodem pytań stawianych pod adresem Pekinu przez niektóre kraje: dlaczego Chińska Republika podejmująca się obrony innych uciskanych społeczności, toleruje niesprawiedliwość społeczną wobec swych obywateli na wyspie? Bo Hongkong rzeczywiście, pomijając całą jego nowoczesność i bogactwo, stanowi miejsce, w którym bodajże najbardziej kontrastuje nędza z bogactwem.

Na to drugie oblicze Hongkongu składa się wiele faktów. Kontrolowane przez pracodawców związki zawodowe wcale nie troszczą się o warunki pracy, ani o to, że często dzień pracy obejmuje 14 godzin. Bezskuteczne pozostają apele organizacji międzynarodowych o ograniczenie wieku dzieci pracujących zawodowo; stwierdza się, że w Hongkongu ponad połowa dzieci w wieku powyżej 9 lat zmuszana jest do pracy zarobkowej. Na wyspie wprost nierozwiązalny jest problem mieszkaniowy — czynsze są tak wysokie, że na mieszkanie stać tylko osoby bardzo dobrze sytuowane. Jest też Hongkong jednym z tych ośrodków w Azji, w których notuje się najwyższą liczbę przestępstw kryminalnych, w których najbardziej rozwinięta jest prostytucja, i w których powszechnie szerzy się narkomania. Stąd — z nowoczesnie wyposażonych i sprytnie zamulowanych laboratoriów, do których surowiec dociera z Birmy, Laosu i Tajlandii — eksportuje się na cały świat wielkie ilości heroiny. Heroina zapewnia przestępcom krociowe zyski, a ponadto umożliwia przekupywanie policjantów i celników. Przed paru laty słynna była ucieczka z Hongkongu 40 policjantów — milicerów. Schronili się oni na Tajwanie. Wśród tych uciekinierów znalazł się „as” policji w Hongkongu — Tang Sang, oskarżony o pobranie łapówek wartości pół miliona dolarów.

„Rozwój gospodarki w Hongkongu służy budowie socjalizmu w Chinach” — tej treści hasła upowszechnia propahekijska prasa w kolonii brytyjskiej. Tolerowanie przez socjalizm kolonializmu stanowi tylko chiński specyfik — w żadnym bowiem innym miejscu w świecie taki fenomen nie byłby do przyjęcia. Ale nie jest to tylko sprawa tolerancji. Byłoby błędem sądzić, że tak szybki rozwój Hongkongu i koniunktura, jaką przeżywa w okresie światowego kryzysu, zawdzięcza tylko mechanizmom kapitalistycznym. Triumfujący rozkwit Hongkong nie mógłby bowiem funkcjonować bez wsparcia ze strony Chin. Jednakże i na to Pekin ma usprawiedliwienie: robotnicy kolonii aczkolwiek są pod jarzmem kolonialnym, znajdują się w awangardzie wspierających socjalizm w Chinach. Z tej właśnie racji trzeba im pomóc, aby nie odczuli skutków kryzysu. Brytyjczycy są inteligentni, znają więc karty Pekinu. Kiedy też z ich strony pada pytanie czy Hongkong nadal będzie Hongkongiem jedna i druga strona wie, że jest to tylko pytanie retoryczne.



W Grecji

Dziennik Wioskiej Partii Komunistycznej L'UNITA zamieścił 21.09.1982 r. wywiad przeprowadzony w Atenach z wybitnym greckim antyfaszystą, deputowanym z ramienia lewicy do parlamentu Grecji od 1961 roku, wybranym w październiku ub. r. do parlamentu zachodnioeuropejskiego, działaczem KP Grecji (wewnętrznej) LEONIDASEM KYRKOSEM, na temat ustawy, w której uznaje się po raz pierwszy w powojennych dziejach Grecji antyfaszystowski ruch oporu i jego organizacje.

— Jakże znaczenie ma, twoim zdaniem, ten akt prawny?

— Jest to niezwykle ważna sprawa, gdyż podcina podstawy, na których reakcja dotąd konstruowała swoje polityczne credo. Grecja była jedynym krajem europejskim, w którym udział w ruchu oporu był traktowany jako przestępstwo. Nie zapominajmy, że Papadopoulos był współpracownikiem Niemców i człowiekiem, który będąc zatrudnionym w aparacie państwa walczył przeciwko ruchowi oporu. Obecnie, ustawa ta umożliwi niesienie pomocy materialnej rodzinom ofiar, a także tym, którzy byli więzieni lub ranni.

— Ilu to osób dotyczy?

— Dokładnych danych jeszcze brak. Wiele zginęło. Jest to okres, który obejmuje 40 lat życia kraju. Źródła angielskie podawały jednak, że do Frontu Wyzwolenia Narodowego, na którego czele stali komuniści, przystąpiło 70 proc. ludności Grecji. Dzisiaj o tej chlubnej kartce historii możemy mówić otwarcie. I możemy być dumni przed naszymi dziećmi z walk, jakie prowadziliśmy. Lecz musimy uważnie obserwować reakcję państwa.

— Dlaczego Papandreu wybrał na ogłoszenie projektu ustawy dzień 17 sierpnia?

— Ma to znaczenie symboliczne. 17 sierpnia 1944 roku Niemcy przeprowadzili operację w robotniczej dzielnicy Pireusu w Kolkonia. Aresztowano i deportowano do obozu koncentracyjnego 700 osób, a ponad 50 zostało rozstrzelanych.

— Można sobie wyobrazić, że wspomnienie tego wydarzenia wzbudziło wiele emocji i wstrząsało niejednym sumieniem.

— Tak. Chciałbym ci uzmystwić, jak to było. Radio nadało dwugodzinny audycję, podczas której przypomnieliśmy historię nazistowskiej oblwy w Kolkonia. Po raz pierwszy komentator odważył się mówić o organizacjach ruchu oporu, cytując listę ofiar, w większości komunistów. Wreszcie uznano heroizm partyzantów i potępiono kolaborantów wymieniac ich z imienia i nazwiska. Możesz sobie wyobrazić, co to wszystko oznacza w chwili obecnej, gdy setki ludzi z prawicy to osoby spokrewnione z przyjacielami Niemiec owego czasu. Podkreślam raz jeszcze, ten rząd być może nie będzie mógł uczynić wielkich rzeczy na płaszczyźnie gospodarczej, lecz już sam fakt, że usunął podstawy politycznej i społecznej ideologii antykomunistycznej znaczy wiele.

— A zatem wszystko już jest dobrze?

— Ależ nie. Jako partia wysuwamy pod jego adresem dopytanie, niejednokrotnie bardzo ostre, gdyż jesteśmy odcięci od środków masowego przekazu i od toczącej się konfrontacji na temat gospodarczej i społecznej. Lecz bylibyśmy ślepi, gdybyśmy nie widzieli zmian, jakie dokonują się na innych płaszczyznach — A jaka jest twoja ocena odnośnie gospodarki?

— To jest problem do wielkiej dyskusji. Nie wiadomo dokąd Papandreu zmierza: czy dąży do zmiany struktur, poszukując modelu, który może go doprowadzić do socjalizmu, czy też raczej dąży on jedynie do unowocześnienia obecnego kapitalizmu. Komuniści „z zewnątrz” (tak określa KP Grecji partię, na której czele stoi Charilaos Florakis — przyp. red.) opowiadają się za tą drugą hipotezą i powiadają, że Papandreu jest klasycznym socjaldemokratą i agentem amerykańskim. My natomiast sądzimy, że mimo tendencji dominujących na najwyższych szczeblach partii PASOK, jest ona zmuszona do czynienia kroków naprzód, które otwierają drogę przed klasą robotniczą, stwarzając w ten sposób warunki do przetrwania granic samego systemu. To zaś zależy od skutecznego działania lewicy i od orientacji, jaka ona będzie w stanie przyjąć nie tylko w zakresie zmodernizowania systemu, lecz w zakresie tworzenia załączków samorządności.

— Jakże znaczenie mają wybory do lokalnych władz administracyjnych, które będą przeprowadzone 17 października?

— Będzie to moment konfrontacji z prawicą i powie nam jak społeczeństwo rozumie dokonujące się zmiany, w 12 miesięcy po wyborach politycznych. Sądzimy, że należy prawiwy zadać cios i zrobić te ofensywę polityczną i społeczną, jaka ona prowadzi. Dlatego zaproponowaliśmy nawiązanie szerokiej współpracy wszystkich sił demokratycznych i zawarliśmy odpowiednie porozumienie z PASOK. Lecz druga partia komunistyczna (KPG Ch. Florakis — przyp. red.) postanowiła wystąpić samodzielnie. Jest to decyzja, która rodzi sprzeczności, gdyż w ten sposób prawica będzie miała kandydatów wspólnych a lewica nie. Istnieją poza tym naciski ze strony amerykańskiej, które z każdym dniem stają się coraz silniejsze. Te groźby z zewnątrz oraz trudności gospodarcze wewnątrz kraju, nie mogą nie wzbudzać niepokojów. Grecja to nie Włochy. Tutaj demokracja w okresie powojennym miała jedynie krótkie okresy istnienia. Należy zatem być ostrożnym, a jednocześnie odważnym. I działać na rzecz szerokiego sojuszu sił społecznych i politycznych, pobudzając do dokonania tych zmian, które już dojrzały.